Nr. 11 (1211). Warszawa, 28 Lutego (12 Marca) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

Działania wojenne.

Żadne przez tydzień ubiegły nie nadeszły wiadomości o przebiegu dnia [illegible] lutego w Porcie Artura; sam tylko fakt napadu ogniowego Japończyków jest pewnym. Po tym dniu nie powtórzyli oni już działań przeciwko warowni; wszakże nie zaniechali swoich względem niej zamysłów. Jest z d. 7 b. m. telegram o wysadzeniu wojsk na wyspo-zbiorze Elliota, mniej więcej na równoleżniku przecinającym półwysep Kuantuński w środku; o sile tego wojska jednak nic nie wiadomo. Z tej samej daty pochodzi inny telegram donoszący o skierowaniu się floty japońskiej w wewnętrzne morze Żółte, którego częścią jest od wschodu oblewająca cały półwysep Liao-tuński zatoka tejże nazwy. Doniesienie to atoli nie daje faktu pewnego. Nad zatoką, w pachwinie między półwyspem a lądem, w Niu-czuangu, stanęła załoga rosyjska; zajmowane też są dobrze ku zachodowi stanowiska na wielką rzeką Liao-ho mające wzmocnić pozycyę Niu-czuańską. Chińczycy, którzy z Szan-hai-Kuanu, stacyi krańcowej, kolei tientsińskiej, posuwać się już zaczęli byli na północ, pochód swój wstrzymali.

Wojska rosyjskie obwarowują się na wschodo-północ od Niu-czuangu (właściwie Ing-kau, port tego handlowego ogniska) wzdłuż linii od Kai-ping, jeszcze na półwyspie, do Liao-jang już na lądzie południowo-zachodniej Mandżuryi, ok. 8—9 mil od Mukdenu na południo-zachód. Zajęcie części lewego brzegu rz. Liao-ho, uważanej już za pograniczną między Mandżuryą a prow. cesarską Peczyli, wywołało ze strony Japonii przypomnienie rządowi chińskiemu jego obowiązku neutralności. Na odwołanie się do odpowiedniej władzy nadeszła odpowiedź, że terytoryum uległe zajęciu znajduje się w promieniu działań wojennych. Sprawa ta niezawodnie zajmuje już dyplomacyę.

W około półwyspów liao-tuńskiego i korejskiego zaczyna się już uwijać wiosna. Lody tają, otwierając dostęp do brzegów. Zajęcie wysp Elliota w tych tylko warunkach znikającej już zimy dokonać się mogło. Wylądowanie Japończyków na Korei, na obu jej pomorzach strategicznych, zachodniem i wschodniem, w ubiegłym tygodniu znacznie postąpiło i pomknęło do Czynam-pho, zatoki leżącej nieco na południe od Piong-jangu, gdzie gromadzą się coraz większe siły. Najnowszy telegram zawiadamia o wysadzeniu na ląd 15,000 wojska. Wszystkiego może już być 50,000. Na wschód pozycye japońskie sięgają do Genzanu. Wojska rosyjskie, które podjazdami sięgały już do Piong-jangu, zbierają się w An-dżu, na południe rzeki Jalu, na której przeprawy zamierzają Japonczykom bronić, mając nad nią powznoszone forty.

Przewidywanie posunięcia się w głąb Mandżuryi w tej chwili jeszcze nie wynika bezpośrednio z układu sił na widowni wojennej. Wprawdzie, po owem lekkomyślnem doniesieniu angielskiem o wylądowaniu w zatoce Possieta, już tak blizko Władywostoku, nadeszła poważna już wiadomość o rzeczywistem wysadzeniu przez Japończyków 2,500 wojska w zatoce Plaksina, na pomorzu korejskiem; ale ten fakt niewątpliwy, po którym nastąpiło zaraz zajęcie Kiön-siengu, pojmować można tylko jako opanowanie punktu zabezpieczającego wschodnią połać właściwego półwyspu Korei i wypada go związać, z zajęciem bardziej jeszcze na zachód i południe leżącego Ham-huengu po nad zatoką Broughtona. Obie zaś te czynności służą Japończykom tylko do osłonięcia obecnej granicy strategicznej, północnej, właśnie przez ów Ham-hueng i ujście Jalu, Ui-dżu, przechodzącej. Przez usadowienie się na Korei, zapewniające wielką pomoc w wyżywieniu i komunikacyach, Japończycy chcą najpierw uprzedzić Rosyan, a potem ułatwić sobie działanie strategiczne na widowni wojennej poza Koreą.

Niespodziewanie ukazała się flota japońska pod Władywostokiem, a jeszcze niespodziewaniej ostrzeliwała to miasto wraz z portem i warowniami na wzgórzach. Stało się to w przeszłą niedzielę d. 6 b. m. Telegram admirała Aleksiejewa z tegoż dnia opiewa: „O godz. 1 m. 25 z południa z siedmiu okrętów nieprzyjacielskich pięć rozpoczęło ogień do fortów Suworowa i Leniewicza, do miasta i portu, wzdłuż doliny rzeczki. Ogień trwał do godz. 2 m. 15, poczem eskadra japońska zaczęła oddalać się na południe i o godz. 5 m. 30 zniknęła z widnokręgu. W bateryach i fortyfikacyach strat niema."

Doniesienie komendanta zawiadamia, że forteca na ogień nie odpowiadała: „z tego powodu, żeby przedwcześnie nie odkryć naszych pozycyi nieprzyjacielowi"! O stratach w porcie i w mieście tenże komendant d. 7 b. m. donosi, że „bombardowanie nie wyrządziło poważniejszych uszkodzeń w porcie. Uszkodzone są nieco koszary marynarki i ranionych lekko pięciu majtków. Pocisk z 12-

całowego działa przebił dom drewniany i zabił dwie kobiety i czworo dzieci. Inny pocisk przebił drugi dom; tu granat pękł przy samej kasie. Pożarów nie było nigdzie, Japończycy strzelali z odległości 8 kilometrów; działa morskie niosą na jedenaście. Nazajutrz okręty znowu się pojawiły, ale przepłynąwszy tylko po przed przystanią, odpłynęły.

Zdarzyło się dwa tygodnie temu, że jednocześnie wyjechali z Londynu ambasadorowie rosyjski i francuski; w prasie zaczęto zaraz stawać na tragicznym koturnie. Hr. Benkendorff wrócił już dnia 3 b. m. z Petersburga, a nazajutrz miał rozmowę z lordem Lansdownem. Najpłochliwszy i najlotniejszy ludek pod słońcem, dziennikarze, zaczęli zaraz rozpowiadać cuda o chyleniu się wojny ku pokojowi; według tych gadułów nawet pośrednictwo nie byłoby w tej chwili wcale trudnem, a nawet, co ważniejsza, miałoby przed sobą różowe widoki. Tylko oddać sprawę dziennikarzom, a oni ją już rozwiążą ku szczęściu ludzkości, jęczącej od wojny. W chwili właśnie obecnej postawa Chin, w których rząd znajduje się pod naciskiem narodu, nie rozjaśnia firmamentu, raczej go zasępia. Można się nawet domniemywać tajnego, tylko nie dla Anglii, traktatu z Japonią. Oświadczenia, uzupełniające notę japońską o neutralności Chin mogły tylko zachęcić stronnictwo narodowe, na którego czele stoi Ju-an-szy-kai, wicekról Peczyli.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ognisko hakaty, płonące, nie w „Ostmarken Vereinie“ w Poznaniu, ale w samym rządzie pruskim w Berlinie, poważyło się dokonać czynu, który w końcu stycznia uważano tylko za chimerę najzapaleńszych hakatystów poznańskich, nie przypuszczając, aby rząd istotnie dał się do nowego aktu nienawiści i prześladowania nakłonić. Stało się jednak to, w co wierzyć nie chciano: d. 3 b. m. przyszedł już pod obrady pruskiej Izby panów projekt, wydający całą, wewnętrzną pracę społeczeństwa polskiego, skupioną naokoło parcelacyi i kolonizacyi, na pastwę nadprezydentowi prowincyi. Mowy ks. Radziwiłła, poważna, i p. Kościelskiego, lekką grą słów odpierająca ciężkie ciosy przemocy, nie wzruszyły pruskich panów: projekt w d. 4 b. m. przesłano do komisyi, która go niezawodnie do uchwalenia Izbie zaleci. Pójdzie sprawa oporem w Izbie niższej, ale i tu przy moralnym upadku i umysłowem zaćmieniu dzisiejszych Prusaków wynik ostateczny jest niewątpliwy: projekt rozbójniczy stanie się prawem. Sprzeciwia się on konstytucyi, bo ogranicza swobodę życia obywatelskiego pewnej części poddanych, gwałci prawo osiedlania się i proste nawet prawo zarobkowania, które wydziera bankom parcelacyjnym; ale o konstytucyę nikt nie dba, gdy *Drang nach Osten* ma pozyskać tak potężny taran, jakim będzie nowe prawo. Deklamatorów, perorujących o coraz lepszym biegu spraw tego świata i coraz lepszym człowieku na świecie, cały ten ohydny systemat pruski otrzeźwieć by już powinien.

Anglia coraz dalej posuwa się na drodze militaryzmu. Wielkie reformy w wojskowości od kilku tygodni są na porządku dziennym. Wódz armii angielskiej, Roberts, doczekał się dymisyi, nie dano mu nawet umrzeć w posiadanej godności. Urząd sam zniesiony, a organizacya nowa ma władzę ministra wojny ograniczyć przez wytworzenie sztabu generalnego i rady wojennej, które niezawodnie wzmocnią i udoskonalą ster nad wojskiem. Przyjmując obie te instytucye z hołdującego militaryzmowi kontynentu, Anglia przyjmuje i trzecią: podział terytoryalny, wytwarzający wielkie jednostki, do terytoryum w całem istnieniu swojem, we wszystkich funkcyach przykute; będzie ich osiem, z pięciu inspektoratami. Poboru powszechnego jeszcze niema, ale blizki już jest czas, w którym i po to dobrodziejstwo kontynentalne Anglia sięgnąć będzie musiała, gdy raz już weszła na drogę prowadzącą do wielkiej, wielkości terytoryów, rozciągłości i stosunkom mocarstwa angielskiego odpowiadającej armii. Zbrojność jej ma teraz już niezależnie od reform wzrosnąć przez nową artyleryę, o której minister wojny, Arnold-Forster, powiedział, że żadna inna w świecie dorównać jej nie zdoła; sto dwadzieścia nowego systematu dział gotowych będzie w ciągu roku. Pracownie okrętowe obecnie mają przed sobą zadanie, wyrażające się liczbą 11 mil. f. sterl. nakładu na nowo budowane wielkie okręty i pomniejsze statki.

We Francyi marynarstwo p. Pelletana zwróciło przeciw niemu większość komisyi budżetowej sejmu, a chociaż radykaliści dotychczas go zasłaniają, prawdopodobnie i oni uznają pracę tę za niewdzięczną i bądź co bądź dyletant ustąpi miejsca jakiemuś specyaliście. Brak rzeczywistej dbałości o stan okrętów, przetrzymywanie raportów po pół roku, lekkie rozwiązywanie wątpliwości, nieumiejętność lub szorstkość w postępowaniu z ludźmi użytecznymi, przy zasadniczym dyletantyzmie—gwałtownie domagają się dla luminarza sejmowego wypoczynku po trudach ministeryalnych. P. Combes go trzyma, bo potrzebuje radykalistów, a potrzebuje do zupełnego przeprowadzenia swych projektów szkolnych. Teraz właśnie dobija do brzegu. Nowe prawo o wolności nauczania, znoszące ustawę z r. 1850, znaną pod imieniem ministra Falloux, okazało się niewystarczającem. P. Combes wniósł teraz zupełne pozbawienie duchowieństwa praw do utrzymywania jakichkolwiekbądź szkół. Izba d. 8 b. m. oddaliła mocyę przeciwną projektowi rządowemu i postanowiła wziąć go pod obrady szczegółowe. Minister liczy w Izbie na większość 50—60 głosów. O zamienieniu projektu w prawo nikt nie wątpi. P. Combes, przeprowadzając te wszystkie reformy, nie myśli bynajmniej wypowiadać konkordatu i organizować duchowieństwa w wielkie stowarzyszenie prywatne, lęka się bowiem o wpływ, który przy utrzymaniu węzła budżetowego rząd zawsze wywierać może.

W Austryi stara nędza: w Peszcie sejm tamowany przez Ugrona i Szekenderego, w Wiedniu Rada państwa rozsadzana torpedami obstrukcyonizmu przez Czechów. Stefan Tisza odważył się na wniesienie zmian w regulaminie, umożliwiających wyzwolenie większości z pod jarzma mniejszości, nawet lada gromadki, choćby z 20 tylko ludzi złożonej. Uczynił to w sposób pedancki, nieostrożny, jątrzący: zażądał odrazu kilkunastu zmian, zamiast jednej, któraby doprowadziła do celu: przerywania i kończenia obrad uchwałą większości. W Anglii nie zawahał się Gladstone użyć tego środka w r. 1881, a naród angielski w ówczesnej *clôture* nie dostrzegł bynajmniej

---

Zofia Rygier-Nałkowska.

LODOWE POLA.

Często bywam teraz u Obojańskiego — zawsze z mglistą, napół uświadomioną nadzieją, że go tam zastanę. I przychodzę po to, by doznać za każdym razem nowego zawodu.

Egzaltuję się niesłychanie tem próżnem oczekiwaniem, budzi się we mnie rzewny jakiś żal, tęsknię do niego coraz bardziej, coraz niecierpliwiej... I nanowo wierzyć zaczynam, że kocham tego człowieka.

Gardzę teraz śpiewem, tańcem i kwiatami. Marzę o cudnem życiu, o chłodnem i wykwintnem życiu we dwoje, o życiu — nawet bez pocałunków. Nie wiem czemu, ale zdaje mi się, że nie umiałabym całować jego wązkich, zaciętych ust. Wiąże mię do niego tylko rozkaz jego zimnego spojrzenia. Wierzę w to, że ten jest mi przeznaczony, że tylko ten jeden człowiek może być moim mężem.

Dziś poszłam odnieść Obojańskiemu nieprzeczytaną dwutomową monografię jakiegoś gatunku owadów.

W przedpokoju usłyszałam obcy głos męzki.

Serce szarpnęło mi się nagle — i zamarło na chwilę z jakiegoś radosnego lęku.

Okazuje się, że jest Smiłowicz, też dawny uczeń Obojańskiego, niewielki, brzydki człowiek, który wprowadza wiele wesołości nie dowcipem swym, lecz niesłychanie zabawnym grymasem swego uśmiechu.

Muszę pani odrazu szczerze powiedzieć — zwraca się do mnie — że za pierwszem widzeniem wydała mi się pani nienawistną: z pozoru wygląda pani, jak jaka wielka dama. Dopiero kiedy mi profesor powiedział, że pani jest buchalterką, że pani sama na siebie pracuje — nienawiść zmieniła się we mnie w sympatyę dla pani, jako siostry w bólu..

Śmieje się serdecznie i zaraża mię sztuczną jakąś, prawie bolesną wesołością.

— Pierwszy to raz słyszę komplement, o którym, jako podanym w formie negatywnej, wiem napewno, że jest szczery. Nie zależy mi bynajmniej na tem, by wyglądem swym symbolizować smutny los kobiet pracujących.

— Że też doprawdy nawet najrozumniejsza kobieta musi mieć w sobie trochę próżności! — irytuje się Obojański.

Obrzucam spojrzeniem całą jego postać, z wdziękiem spoczywającą na fotelu, okrytą czarnem, lśniącem ubraniem, sztywno zaprasowanem na nogach, jego pięknie utrzymaną siwą brodą, artystycznie zawiązany krawat — i uśmiecham się w milczeniu. Nie powiem mu tego: odrazu zacznie mię przekonywać, że ubrany jest zupełnie skromnie, tyle tylko, że nie brudno, ani nieporządnie. A nie lubię w tym ładnym człowieku nieskończonej ilości drobnych, napół uświadomionych kłamstewek. Jest w tem coś babskiego.

— Próżność jest tylko wyrobionem poczuciem estetycznem. Bezwątpienia miesza się tu też pierwiastek kokieteryi, ten jednak ma źródło — w instynkcie rozrodczym — mówię odważnie, lecz szybko, by połknąć zażenowanie, — a instynktu tego nie nazwie nikt niemoralnym, ani zdrożnym — wszak pan jest przyrodnikiem... Kobieta ubraniem wyraża stopień swej kultury artystycznej, swą indywidualność.

— Cóż to za indywidualność w pętach mody.

— Moda jest przecież wyrazem zmienności upodobań ludzkich — tak samo, jak okresy w sztuce, literaturze, historyi.

— Zapewne — wtrąca Smiłowicz — ale zmienność upodobań powinna być dowolna, nie narzucona.

— Ach — to już trudno. We wszystkich dziedzinach życia spotykamy się z pomysłowością jednostkową i naśladownictwem tłumu — nikt wszakże naśladować mu nie każe, on chce sam, nakazuje to sobie siłą opinii, bo nie ma sił na samodzielność. A zresztą — niekoniecznie musi w tem być naśladownictwo: duch epoki jest niekiedy czemś w powietrzu. Po sukniach długich nastają krótkie, po rękawach szerokich

śmiertelnego ciosu dla swej wolności; konieczność ówczesna dotrwała do dziś, jako możliwość uświęcona przez prawo. Ale na Węgrzech środek roztropności i koniecznej obrony uchodzi za hańbę, za niegodziwy wybryk absolutyzmu. Już całe stronnictwo Kossutha przystało do najskrajniejszych, aby walczyć z potworem. Prawdopodobnie Tisza rozbije się o własny swój projekt. Nowe rozwiązanie sejmu mogłoby wywołać usiłowania rewolucyjne. W Wiedniu secesya czeska ma znaczenie wyraźnie już odśrodkowe, słowianofilskie. Już nie o uniwersytet, ani o prawo językowe, ale o wyższe walczy się dobra. Gorące, namiętne uwielbienia dla Rosyi, pragnienie dla niej zwycięztw, obudziły znowu dawne z przed lat 30 ideały. Do walki z Niemcami stają teraz bardzo liczni radykalni z hasłem: „Nie boimy się was, bo mamy za sobą Rosyę.“ P. Koerber stoi bezradny, a stronnictwa porządku w Izbie dopominają się wzięcia pod obrady wniesionego już na początku roku projektu zmian w regulaminie. Zniknie w najlepszym razie opór w Radzie, ale w Czechach pozostaną Czesi.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.*)

I. Wybrzeża.

(Ciąg dalszy).

Fuzan, jako port najstarszy, najlepiej zagospodarowany i najbliżej Japonii położony, na długo pewnie pozostanie ogniskiem japono-korejskiego handlu. Współzawodniczyć z nim może tylko sąsiedni, o parę godzin drogi odległy Masan-pho (Masampo), który ma dogodniejszą, obszerną i zaciszną przystań, dostatecznie głęboką, aby statki mogły stawać u samego brzegu. Ale i tam już usadowili się i gospodarują Japończycy. Przed wojną było ich tam (nie licząc wojska) około tysiąca, mieli już konsulat, porty i założyli miasteczko niedaleko od wielkiej wsi korejskiej, mającej bez mała 10,000 mieszkańców. Do końca ubiegłego stulecia Fuzan posiadał monopol na zewnętrzny handel Korei, zresztą bardzo ograniczony i skrępowany rozmaitymi przepisami. Dopiero w 1883 r. zostały otwarte dla cudzoziemców dodatkowe porty Genzan i Czemulpo, a następnie Mok-pho i Czi-nam-pho w 1898 roku oraz Mo-sam-pho, Sion-czin-pho (północno-zachodni) i Kiuń-san w 1899 r. *). Wtedy, dzięki swemu położeniu u ujścia spławnej rzeki Chań-hań, bliskości stolicy, łatwości komunikacyi z miastami Phion-jan i Kiuń-san, okolicami urodzajnemi i zaludnionemi, dzięki wreszcie sąsiedztwu Chin, wysunął się na pierwsze miejsce port Czemulpo. Przedtem była to marna, korejska wioska, teraz powstało tam ładne miasteczko, mające z górą 8,000 mieszkańców, w tej liczbie znaczna większość Japończyków, 1,500 Chińczyków i setka Europejczyków, Anglików, Amerykanów i Niemców. W brudnej i ubogiej dzielnicy korejskiej gromadzi się podobno do 15,000 majtków, przewoźników, ładowników, drobnych przekupniów oraz innej biedoty... Miasto zalega stoki wysokiego pagórka. Białe jego domy wyglądają bardzo ładnie wśród zieleni licznych ogrodów. Dzielnica japońska jest najobszerniejsza, najlepiej urządzona i w najlepszem miejscu. Tam jedynie można dostać rzeczy niezbędnych do życia. Poważną konkurencyę wszakże robią Japończykom Chińczycy, którzy, posiadając znacznie więcej pieniędzy i tańszy kredyt, wypierają ich zwolna z hurtownego handlu. W drobnym handlu zdążyli już zmonopolizować w swem ręku sprzedaż żywności oraz jarzyn, dostarczanych przez okolicznych rolników.

Najlepszy, po europejsku urządzony hotel „Daibutsu,“ znajduje się w dzielnicy japońskiej i należy do Japończyków. Mógłby go pozazdrościć niejedno miasto polskie; konsulat japoński, piękny pałacyk w głębi ogrodu, panuje ze szczytu góry nad miastem. Pyszny widok otwiera się stamtąd na zatokę pełną statków, na uroczą wysepkę „Roze'a,“ oddzielającą właściwą przystań od portu zewnętrznego, na bladobłękitny liman rzeki Chań, szeroko roztrącający na północy różowe, nadbrzeżne skały.

Port jest dość płytki, wielkie, wojenne oraz handlowe statki muszą się zatrzymywać daleko od brzegu. Kiedym był w Czemulpo, przybył właśnie pancernik rosyjski z dwoma torpedowcami, żądając od konsulatu japońskiego zadośćuczynienia z powodu jakiejś zwady marynarzy rosyjskich z tutejszym tłumem japońskim. Ogromne, czarno, bojowo pomalowane okręty wyglądały zdala, jak drobne kropki na lazurowym pukłerzu morza. Podczas gdy cała sprawa była roztrząsana przez przedstawicieli obu państw, w twierdzy koreјskiej, na wyspie Kang-hoa, posępnie huczały działa i siwy dym słał się nad zatoką. Biedacy, choć strzelaniem do celu zawiadamiali świat o swem istnieniu.

Bezwątpienia, że i Czemulpo zawdzięcza znaczny swój rozwój handlowy Japończykom, którzy nietylko zbudowali miasto, kolej łączącą je ze stolicą (45 kilo.), urządzili nad morzem przystań, lecz pierwsi założyli tu bank, izby handlowe, konsulat, pocztę, telegraf, agentury przewozowe, ogniową straż ochotniczą itd. Obroty handlowe Czemulpo sięgają 9 milionów rubli, odwiedza go z górą 1,000 statków rocznie, w tej liczbie 300 parowców.

Ci mali wyspiarze wszędzie na Wschodzie wnoszą zaczyn nowego życia. Chińczycy i Korejczycy ufają im, gdyż widzą w nich braci. Zresztą kupcy korejscy są ubodzy, mało ukształceni, niezabiegliwi i nieprędko będą mogli obejść się bez cudzej pomocy.

Z portów, otwartych dla cudzoziemców, jedynie Genzan, leżący na północno-wschodniem wybrzeżu półwyspu, może się pochwalić pewną liczbą korejskich kupców i czemś w rodzaju korejskiego handlu. Ale i tam głównymi dostawcami i odbiorcami towarów są Japończycy *). Wywożą oni

*) Prawo przekładu przekazane firmie wydawniczej „Marchlewski i S-ka.“

*) W tym również czasie były otwarte dla europejskiego i japońskiego handlu miasta Seul (stolica), Phion-jan i wieś Jan-hoa-dżin (koło Seulu).

*) Dzielnica japońska ma około 400 domów, 2,000 mieszkańców, konsulat, świątynię, szkołę, pocztę, telegraf, trzy apteki, trzy szpitale, zarząd miejski i policyjny, 238 sklepów i dużo warsztatów rzemieślniczych. Odwiedza port około 250 statków, w tej liczbie 200 parowców. Obroty handlowe Genzanu sięgają 2 mil. rubli, („Reports on the Trade of Korea“ for 1898).

[illegible] rękawy — szerokie u dołu — tak [illegible]no, jak po realizmie idealizm, po pozytywizmie mistycyzm...

— No, no, no — śmieje się pobłażliwie Obojański — trochę to jest co innego literatura i ubranie.

— O, zapewne... Otóż w każdym ogólnym [illegible]unku dozwolone są pewne odcienie — i w [illegible] przejawia się właśnie indywidualność. Dlatego niecierpię wprost ubrań [illegible] z ich wiecznie jednakową sztywnością i martwotą.

— Ale to jest schemat, widzi pani, to zaciera różnice społeczne: ja w mem ubraniu niczem nie różnię się od szewca, który ustroi się w niedzielę.

Zn[illegible] niemile uderza mię kłamstwo i na[illegible]adoma, tania kokieterya: każdy patrząc nań, musi w tej chwili pomyśleć, że gdyby szewc ubrał się nawet w jego własne ubranie, nie byłby tak, jak on ubrany. I Obojański wie o tem doskonale.

— To [illegible] właśnie zła strona ubrania męzkiego, że zaciera pozornie to, co w rzeczywistości istnieje, usuwa przejawy zła i poma[illegible]

— Tak — wtrąca Smiłowicz, z swym zaba[illegible] uśmiechem — dzięki temu ktoś, sądząc, iż profesor jest szewcem, mógłby wziąć [illegible] zyje tylko ze swej pracy.

Gram [illegible]icho z pamięci „Wiosnę“ Griega, która tak przypomina mi wieczory, spędzane z Martą. Lepiej było mi wtedy. Wszelkie lepsze nastroje dziwnie potężnieją z przeszłości. Wydaje mi się, że w Kłosowie byłam niesłychanie szczęśliwa — i że to już nigdy nie powróci.

Tu czeka mię coś złego. I przytem on ciągle, ciągle nie przyjeżdża..

* * *

— Czasami mam wątpliwości, czy dobrze robię, rozbudzając tak wcześnie umysł pani, poddając krytyce wszystko, w co pani przywykła wierzyć. Boję się, by myśli podobne nie były dla pani nie do udźwignięcia, by pani nie zgubiła się w tym chaosie mych sceptycznych rozmyślań.

Tak kończy Obojański długą rozprawę na temat, że Boga wogóle niema, a dusza jest funkcyą ciała. Z pobłażliwym uśmiechem uspokajam go, że te obawy są bezpodstawne, że wogóle zasadnicze zwątpienie nie grozi mi bynajmniej.

— Widzę teraz, że uważam panią wprost za mego przyjaciela i mówię z panią o wszystkiem. Zapominam, że pani jest kobietą i przytem prawie dzieckiem jeszcze.

...I tu dzwonek elektryczny — zupełnie taki sam, jak zwykle...

— Kto tak późno?.. — pytam i drżę na całem ciele.

— Rosławski pewnie... Wczoraj przyjechał i pisał mi, że będzie dziś u mnie, ale myślałem, że już nie przyjdzie.

Słyszę kroki Józefa w przedpokoju i łoskot otwieranych drzwi. Obojański wychodzi. Później słyszę ten głos, ten... Tłomaczy się ze spóźnienia.

— Pan ma gości?—pyta z pewnem zaniepokojeniem.

— Nie — nic, to Smiłowicz i Dernowiczówna, zna ją pan przecież. Proszę.

Nie mam sił tym razem panować nad sobą. Na twarzy czuję płomienie. W pierwszej chwili chcę zerwać się z krzesła, by wybiedz na jego powitanie — ale szczęściem zupełnie nie mam siły.

Pochylam głowę, by zakryć grę mej twarzy rondem kapelusza. Milczę. Smiłowicz coś mówi do mnie, ale nic nie rozumiem.

Rosławski wchodzi. Witam go, nie patrząc nań, nie podnosząc prawie głowy. —

Boję się straszliwie czegoś nieoczekiwanego z mej strony. Ogarnia mię taka dzika, nieusprawiedliwiona trwoga, jak przed zemdleniem lub jakimś atakiem nerwowym. Zaciskam zęby i milczę.

Po chwili jestem już spokojna. Słyszę parę wymówionych przeze mnie zapytań o podróż, Anglię, morze, zapytań, zwróconych do niego — i sama jestem zdziwiona obojętnie uprzejmem brzmieniem swego głosu.

Pierwszą mą myślą przytomną jest, że jestem właściwie ładna, że powinnam być ładna. Rosławski rozmawia z Obojańskim — widzą się po raz pierwszy od dłuższego czasu, więc trzeba im zostawić chwilę swobodną. Wstaję z fotelu, by pójść do Smiłowicza, który stoi na uboczu i milczy.

stąd głównie miedź, skóry, bydło, zboże i złoto, dorywczo dobywane przez krajowców w północnej Korei. W lecie gromadzi się tu mnóstwo rybaków, zaglądają często statki towarzystw wielorybniczych: rosyjskiego i japonskiego. Cały rok w dzielnicy korejskiej odbywa się co pięć dni jarmark, na który schodzą się wieśniacy z okolicznych wiosek. Słynie Genzan z wyrobu mosiężnych fajeczek i obuwia plecionego ze szpagatu.

Genzan, po korejsku Ueuzan, należy do najstarszych, pobrzeżnych sadyb korejskich kroniki z XIV w. już o niem wspominają. Z okolic Genzanu pochodzi słynny władca I-sion-ge, założyciel obecnie panującej dynastyi. Dwunastotysięczne miasto korejskie tworzy długą, ściśle zabudowaną ulicę w południowo-zachodnim koncu zatoki, głębszym i lepiej osłoniętym od wiatrów, niż część środkowa, zajęta przez dzielnicę europejską i japońską, albo północny (port Lazarewa), który choć nie zamarza, ale nieraz w zimie wypełnia się krami, przynoszonemi przez prądy od Władywostoku. Zresztą, sądząc z położenia i budowli genzańskich, mieszkańcy tego miasta nigdy nie dbali bardzo o morze. Korejski Genzan (3,000 domów i 15,000 mieszkańców) robi wrażenie wielkiego, brudnego, zaniedbanego zajazdu. W sklepikach, kramach, budach sprzedają przeważnie jedzenie lub rzeczy potrzebne tragarzom, woznicom, podróżnym... Przed każdym prawie domem, na odrzuconych klapach okien, stoją naczynia, misy, filiżanki do herbaty, wskazujące, że tu można się posilić, wypocząć, nawet przenocować. W głębi podwórek widać obszerne szopy i żłoby, pełne nieraz koni, mułów, wołów. Przez ulice ciągną całe karawany tych zwierząt, objuczonych pakami towarów, gdyż w Genzanie zbiegają się końce trzech gościńców, łączących brzeg wschodni półwyspu z brzegiem zachodnim, ze stolicą i miastami północnemi, dostarczającemi im drogich futer, żeńszenia, oraz cennych „pant“ *). Na ulicach snują się tłumy woźniców, przewodników, tragarzy, wędrownych kramarzy ogorzałych i brudnych, ale odzianych niezmiennie w białe szaty i ażurowe, czarne kapelusze, w których wnętrzu prześwieca kok starannie zwinięty na czubku głowy. Mówią głośno, ale chodzą i ruszają się wolno, często przysiadają gromadkami na skraju drogi, pod ścianą albo u kramiku, wyciągają z za pasa małe, fajeczki na długich cybuchach i palą je w milczącem skupieniu. Wszystko to żyje z przewozu towarów, ale na przystani nie widziałem ani jednej dżonki korejskiej. Były tam jedynie liche łodzie rybacze.

A przecież Korea jest krajem stworzonym dla żeglarzy. Długość tego półwyspu cztery razy przewyższa jego szerokość w najszerszem miejscu, najodleglejsze od wybrzeży miejscowości leżą zaledwie o siedemdziesiąt mil od morza. I były czasy, kiedy Korejczycy słynęli jako żeglarze, kiedy flota ich słusznie uważana była za najlepszą na Dalekim Wschodzie. W 1593 roku w morskiej bitwie pod Quelportem zwyciężyli oni potężnych Japończyków, marzących o koronie chińskiej. Ale właśnie po tej morderczej wojnie, której terenem była Korea i która trwała 6 lat, nieszczęśliwy, znękany naród postanowił zerwać wszelkie stosunki z łupieżczym i krwiożerczym światem. Handel z cudzoziemcami był zakazany pod karą śmierci, budowa statków morskich i żeglarstwo utrudnione, brzegi opustoszałe z mieszkańców; wioski i miasteczka przeniesione w głąb lądu. Wzdłuż morza, na wysokich górach, powstał cały szereg strażnic, które za pomocą ogni sygnałowych dawały znać najbliższej władzy, a następnie stolicy, o zbliżaniu się każdego obcego okrętu. Śmiałkowie, którzy odważali się wówczas w małej liczbie lub niedość uzbrojeni i ostrożni, wylądowac na niegościnne brzegi, płacili za to życiem. Stan taki przetrwał lat 400. Jeszcze w 1866 r. statek amerykański, „Generał Sherman,“ który wszedł bez pozwolenia w ujście rzeki Ta-don-hań, znikł bez śladu wraz z załogą.

Z takiego snu niełatwo się zbudzić.

Podróżnika, płynącego wzdłuż brzegów Korei, uderza ich straszna martwota. Poczwarnie pogiętych i popaczonych ich skał nie zdobi żadna roślinność. Nigdzie nie widać ani wiosek, ani pól uprawnych. Nieliczne łodzie z żółtymi żaglami pojawiają się niespodzianie i nikną niepostrzeżenie wśród urwistych przylądków, jak gdyby się lękały ludzkiego spojrzenia. Jedynie fale wznoszą się wysoko i pienią, gdyż morze korejskie jest burzliwe, w lecie szaleją tu tajfuny, a w zimie burze lodowe *).

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

*) Młode rogi jelenie, pełne krwi, zanurzone po odpiłowaniu w słony wrzątek, używane przez Chińczyków jako lekarstwo.

*) W poprzednim ciągu niniejszego artykułu, zamiast „najbardziej wygięty ku północy łuk *zatoki* korejskiej,“ powinno być: „łuk *granicy* korejskiej.“

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Berlina.

Berlin, 7 marca.

W zeszłą sobotę i poniedziałek wrzały w parlamencie niemieckim żywe, ostre, zawzięte rozprawy, tyczące się dyplomatycznych stosunków niemieckich i traktowania przez rząd Rzeszy, jako i przez rządy zrzeszonych państw poddanych i obywateli obcych krajów. Ta dyskusya wykazała raz jeszcze przepaść, dzielącą ideę ludową zjednoczonych wolnościowych Niemiec od dzisiaj istniejącego prusko-niemieckiego cesarstwa. Świadomość tego stanu rzeczy socyaliści ciągną dzisiaj znaczną część swych sił z tego głębokiego rozczarowania narodowego.

Należało się spodziewać, że posłowie polscy wystąpią tym razem wybitnie, a to dla dwóch powodów: po pierwsze Koło polskie samo postawiło równoległy socyalistycznemu wniosek: o pilniejszej opiece rządu rzeszy względem Polaków, poddanych innych państw, i dyskusya tyczyła się tegoż właśnie przedmiotu oraz popełnionych w tym zakresie przez rząd pruski nadużyć; po drugie, nie po raz pierwszy Koło miało sposobność przekonać się o zasadniczej i praktycznej różnicy stosunku Rzeszy niemieckiej a Prus do Polaków: niewiele dni upłynęło od dyskusyi parlamentarnej nad pocztowymi dodatkami do pen-

---

właściwie ogląda nową jakąś książkę na półce.

Przechodzę koło Rosławskiego — chłodna, świetna, z głową podniesioną, błyskając pod światło gazu spokojnemi oczami. Widzę siebie zzewnątrz: jestem ubrana czarno, obciśle, mam wielki, miękki; oryginalny kapelusz jesienny, wogólnej sylwetce rysuję się ładnie, w ruchach mam jakąś rozleniwioną powolność, powstałą z nadmiaru potencyalnej, wysiłkiem ujarzmionej, uśpionej chwilowo siły życiowej.

Pierwszy raz w tej chwili spoglądam na niego — i spotykam się z jego objektywnem, krytycznem, zimnem spojrzeniem. W ten sposób dotychczas ja jedna tylko umiałam patrzeć na siebie.

Staję obok Smiłowicza i miękkim, obrachowanym ruchem pochylam się, by odczytać tytuł książki, którą on trzyma w ręku. Czuję na sobie bezustanku ten zimny wzrok.

— Zmieniła się pani bardzo przez ciąg wakacyi — mówi Rosławski.

— Czy tak? — uśmiecham się uprzejmie, podnosząc ku niemu głowę.

— Teraz wydaje się pani wyższą, bardziej już „dorosłą.“ W zeszłym roku miała pani w sobie jeszcze coś z pensyonarki.

Protestuję żartobliwie i skłaniam Smiłowicza, by coś mówił do mnie. Nie słucham go — i myślę.

Rosławski nie robi na mnie wrażenia mężczyzny, tylko jakiejś siły mechanicznej, czegoś takiego, co jest wrogie i nienawistne, groźne i magnetyzujące. Ten wysoki, elegancki, mądry pan w binoklach wydaje mi się nie żywym człowiekiem, tylko oderwanem jakiemś pojęciem. Czasami nie mogę prawie uwierzyć, by to on właśnie był ...

Mam wrażenie, że stoję na szynach w mroźną zadymkę zimową i wśród wycia wichru słyszę łoskot rozpędzonego pociągu, ale nie uciekam. Patrzę w zimne objektywne oczy nadjeżdżającego parowozu który mię za chwilę rozmiażdży—i nie uciekam — jak w jakimś męczącym śnie, — bo nie mogę wzroku oderwać od tych spokojnych, stalowo lśniących oczu. Stoję bezbronna, oczekująca — z nienawiścią i pokorą. Czekam...

Przy herbacie ogólna rozmowa. Do nastroju, jaki panuje u Obojańskiego, Rosławski wprowadza świeżo importowany pierwiastek angielskiego chłodu i sztywności. Czujemy się wszyscy skrępowani zaledwie dostrzegalną etykietą, jakby nas opętały nierozerwalne nici pajęcze. Przestajemy zupełnie śmiać się głośno. Wszystko staje się stłumione i matowe.

— I tak na wszystko w życiu potrafi pani patrzyć, jako na przedmiot obserwacyi i starannej, drobiazgowej analizy? — zapytuje, ani na chwilę przez ciąg całej rozmowy nie spuszczając ze mnie oczu.

— Tak. Właściwością mego mózgu jest przewaga rozumowości nad uczuciem.

— A czy nie uważa pani tego za swą przegraną, czy taka wieczna, czujność nie odbierze pani wszelkiej bezpośredniości wrażeń?

— W pewnym stopniu — naturalnie. Ale za ten brak bezpośredniości mam zupełne zadośćuczynienie w samym procesie obserwowania i analizowania wrażeń, który ukrywa dla mnie niesłychaną przyjemność. Przy tem zamiast intensywności wrażeń zdobywam drogą sybaryckiego rozumowania daleko rozleglejszą ich skalę, percypuję takie ich odcienie, które uchodzą zmysłów innych.

Rosławski uśmiecha się. Czuję w sobie lód..

Oto umarło lato — i padł spłowiały z męki i pragnienia cudny, płomienny kwiat życia. Oto wkoło mnie rozściełają się znowu bezkresne pola lodowe. Oto na czarnem niebie zagasło słońce, a nad horyzontem rozlewa się zimne, zielonawe światło zorzy. Oto wstają umarłe moje zimne sny. Oto wstaje dusza moja, która zdeptała moje kwiaty i idzie po śnieżnym bezmiarze, dumna smutnem swem zwycięztwem, śpiewająca tryumfalnie podniosły hymn śmierci.

— O — jakie straszne, jakie straszne jest zwycięztwo duszy.

* *

(C. d. n.)

syi urzędniczych, która była bezpośrednim votum nieufności parlamentu dla partykularnej pruskiej polityki antipolskiej; Polacy też nie powinni omijać żadnej sposobności, aby Prusy zdyskredytować, poniżyć w obliczu narodu niemieckiego, wyjaśnić i oszacować ich politykę, która właśnie wobec Polaków bezwstydnie i bezczelnie się obnaża.

Tym razem można było tembardziej spodziewać się wystąpienia posłów polskich, że milczenie ich w poprzednich dyskusyach wywołało oburzenie w szerokich kołach. W prawdzie to poprzednie wahanie się Polaków w spełnieniu obowiązku okrywało się stale mgłą tajemniczości i „racyi stanu.“ Nawet wśród t. zw. posłów postępowych panowało znaczne niezdecydowanie: poseł Kulerski taił ostrożnie swoje zdanie; poseł Brejski pytał się z niechęcią czyli Polacy będą odtąd obowiązani głos zabierać przy każdej interpelacyi socyalistycznej, zaś poseł sejmowy ks. Stychel, krytykujący w gronie młodzieży postąpienie swych kolegów parlamentarnych, w parlamencie potem na zebraniu Koła sejmowego był bardzo przeciwny wtrącaniu się Polaków do obcej im rzeczy i poprzednie zdania swoje racyą stanu zasłonił. Bądź co bądź zdawało się, że tym razem Polacy od dyskusyi się nie usuną — dla powodu aż nadto chyba dla każdego jasnego i prostego.

Okazało się jednak, że gdyby nie kłamliwy i jak zwykle brutalny napad pruskiego ministra spraw wewnętrznych Hammersteina, Polacy nie uważaliby i w tym wypadku za stosowne wtrącić się do dyskusyi, jak to ostentacyjnie prezes Koła poseł Radziwił zaraz na początku swego przemówienia stwierdził.

Zapewne gorszem jeszcze od tego nawskroś niesamodzielnego i politycznie naiwnego przemilczenia było to, co Radziwił w swem przemówieniu wypowiedział: zamiast wzgardzie i nienawiści przeciwstawił on polską, względem Prus niezachwianą, wiernopoddańczą służbistość wspomniał ciemnej pamięci pola Gravelotte i Sedanu oraz pomniki stawiane żołnierzom polskim za pruską wierność „Bartka, zwycięzcy“ nad Francyą napoleońską.

Takie przemówienie prezesa obecnego Koła parlamentarnego nie jest przypadkowem, owszem, widzimy w niem wyraz pewnego, świadomego kierunku w całej reprezentacyi polskiej.

Nie mówimy naturalnie o rzeczach drobnych, choć niestosownych, jak np. używaniu przez posłów polskich hakatystycznej nazwy: „Ostmarken“ tj. marchii wschodnich, a więc określanie rdzenia polskich krajów nazwami kolonizacyjnych, zdobycznych osad niemieckich. Nie mówimy o starych posłach weteranach, pozostałościach minionych dni Aranjuezu — ugody, o ks. Jażdżewskim, zawsze powołującym się na prawo do łaski monarszej, i podczas mów swoich zawsze uprzejmie skłaniającym się ku ławie ministrów pruskich.

Ale przyjrzyjmy się nowym posłom, którzy w licznych przemówieniach dostarczyli nam już dostatecznego materyału do poznania ich polityki: poseł Korfanty przemawia dwukrotnie, w palamencie i w sejmie i dwukrotnie zapewnia o swojej względem Prus wierności. „Powiedziano — mówi w parlamencie — że się chcemy oderwać od Prus: jest to poprostu kłamstwem.“ „Nie myślimy oderwać się od Prus — powtarza w sejmie, — nie mamy po temu ani sił, ani chęci“ (*dazu haben wir Weder Kraft, noch Wille*). Wobec takich zapewnień blednie naturalnie niedawne ostrożne wypowiedzenie ks. Jażdżewskiego. Posłowie Kulerski i Brejski są zbyt mało wyrobieni politycznie, aby ich można było brać pod uwagę. Zato poseł Mielżyński zaznaczył stanowczo swój polityczny charakter: przedewszystkiem, co dotąd nie było we zwyczaju u Polaków, znajdował się w charakterze sekretarza parlamentarnego na przyjęciu prezydyum Izby u hr. Ballestrema, na którem też, w gronie nielicznych i uprzywilejowanych zaproszonych, obecnym był cesarz Wilhelm. W ostatniej swej sobotniej mowie parlamentarnej przy etacie wojny poseł Mielżyński powołał się na swój charakter pruskiego oficera i wyraził się: „jeśli armia według słów ministra ma być wielką rodziną, to myślę, że przy jej stole należy się też miejsce polskim weteranom.“ Jeżeli uprzytomnimy sobie dawniejsze wystąpienie posła Chrzanowskiego, przekonamy się, jak wzrosła w młodszem pokoleniu posłów świadomość moralnej przynależności do monarchii pruskiej. Stwierdza to nasze przekonanie o bliskiem powinowactwie tych nowych elementów politycznych z kierunkiem *Orędownika*, którego pierwszem przykazaniem jest, jak wiadomo, nietylko liczenie się, ale uznanie istniejącego politycznego stanu rzeczy.

W kole polskiem zaszła więc ta dziwna zmiana: stało się ono cokolwiek więcej demokratycznem i cokolwiek więcej... pruskiem. Naturalnie dalecy jesteśmy od podejrzywania naszych posłów o tak wielką naiwność polityczną, ażeby te wynurzenia miały stanowić li tylko broń taktyczną. Broń taka bowiem byłaby nad wyraz marną. Mógł poseł Głębocki nazwać Bismarcka największym wielkopolskim agitatorem, była bowiem w tem wyrażeniu nietylko zręczna taktyka wprowadzająca wrogów w prawdziwe z logiką kłopoty, lecz także była w niem pewnego rodzaju głębsza prawda historyczna, którą zbić nie było rzeczą łatwą. Zaś teraz, na owe zapewnienia i zaklęcia, ministrowie pruscy odpowiadają krótkiem: nie wierzę — i oto cały cel zapewnień zniszczony! Nietylko zresztą ministrowie pruscy, bo i p. Richter (Eugeniusz) i centrowcy wypowiadali się wyraźnie przeciw antipaństwowym zamysłom, a więc jako fakt uznali samo ich istnienie. Zaś po owych polsko-pruskich zaklęciach jeden z poczytnych dzienników liberalnych mówił o „łamaniu konstytucyi“ przez Polaków. A więc, gdyby były w zachowaniu się Polaków racye taktyczne, nie miałyby one najmniejszego celu.

Ale w tem jest nietylko taktyka. Wyraża się ona nietylko tam, na zgromadzeniach prawodawczych, pod reprezentacyjną odpowiedzialnością, lecz także w kołach swoich, nawet w gronach poufnych.

Wiemy już teraz, do czego wrogów naszych doprowadza ta konstytucyjna wierność pruska. Jeżeli wszystkie zniewagi, otrzymane od Bismarcka, w pamięci naszej wytlały, sumienie pali nam do tej chwili niezapomniane słowo, rodzące zbyt brutalną świadomość niewolnictwa: *wir haben zu befehlen und sie zu gehorchen.* 250 milionów na kolonizacyę, usunięcie języka polskiego z obrad publicznych, zakaz kolonizacyi polskiej, ograniczenia działalności banków i spółek pożyczkowych — oto jedne już owocne, drugie w pełni rozkwitłe, trzecie w pąkach dopiero obiecujących kwiaty hakatystycznej polityki, *rządowej* polityki, wyrosłe na gruncie owej wiernopoddańczości naszej.

Pozostaje więc tylko nadzieja, że sroga ręka losu nieubłaganego nauczy nawet niechcących, otworzy oczy ślepym, sprawi, że pozbawieni zmysłu dotyku palić się będą od zadanych im policzków.

Od takiego zachowania się miarodajnych czynników społeczeństwa odbija dość dziwnie stosunek tychże do narodu niemieckiego, do niemieckiej kultury. Tam wierność i spokój — tu gwałtowne oburzenie i nienawiść. Dwie są tylko ostateczności: albo przesiąknięcie do szpiku kości niemiecką kulturą, albo zupełne jej zaprzeczenie: w obu wypadkach zależność i niemoc kulturalna. Na tym stęchłym gruncie wyrastają równie niezdrowe i nienaturalne przeciwstawienia kultury słowiańskiej, jak gdyby kultura nie była jedną jedyną i jak gdybyśmy do niej nie należeli; jak gdyby nas gnębiła niemiecka myśl i kultura, a nie karykaturalne pruskie jej wynalezienie; jak gdyby wiecznym losem narodów było drzeć się wzajemnie i niszczyć, a w nowych dążeniach narodu niemieckiego nie było wskazań, iż czasy inne przyjdą, że nie jest wieczny czas, w którym panuje starodawna zasada: *homo homini lupus est.*

Nie zważając na to, Polacy *ostry ton* dokumentują wypowiadaniem sumarycznych sądów o dziejopisarstwie, nawet filozofii niemieckiej (mowa Skarżyńskiego w sejmie pruskim). Nie zważając na to przy gorliwej pomocy obranego głosami socyalistycznemi p. Korfantego, największe niebezpieczeństwo polskie widzą w rozradzającym się ruchu wolnościowym i społecznym.

Zdaje się, iż tu dotykamy gruntu rzeczy. Społeczeństwo nawskroś katolickie i konserwatywne boi się wewnętrznej zmiany pod działaniem nowych sił, ogarniających naród niemiecki. W tym względzie wolą już Prusy z ich ustrojem stanowym. Nad starodawną tradycyą publiczną tu więcej niż gdzieindziej startą z lic i z myśli ludzi, góruje interes zarozumiałej i zawziętej w obronie stanu posiadania warstwy społecznej.

Ziemomysł.

Pielgrzymka do Rzymu.

Przypuszczam, że kto — jak „Pustelnik“ Świętochowskiego — z zawrotną głową spojrzał raz w bezdenną otchłań potrzeb społecznych, tego codzień rano budzi dręczące pytanie: a skąd ty chudopachołku weźmiesz szmat na okrycie wszystkich bied, które cię dziś obstąpią? Jeszcze nie wyjdziesz z domu, a już ci dziennik poranny przypomni, że powodzianie nie mają na chleb, a studenci na wpisy, że tam umiera z głodu ślepy malarz, a tam wdowa z sześciorgiem dzieci woła o pomoc, że do uposażenia Szkoły sztuk pięknych brak kilkadziesiąt tysięcy rubli itd. Jednocześnie usłyszysz za drzwiami chór żebraków, przed którymi wczoraj umknąłeś, a którzy dziś do ciebie się wdzierają z natarczywemi prośbami. Nie uciekniesz do ludzi: każdy ze znajomych przywita cię propozycyą: możeby pan dał składkę... Naturalnie wszystkich składek nie dasz, we wszystkie wyciągnięte ręce jałmużny nie włożysz, wszystkich nędz nie zasilisz, więc musisz cierpieć i to cierpienie leczyć. Jak?

Jeżeli wiele spraw, wiele kłopotów, wiele bólów zacznie cię dręczyć, a ty nie możesz ani ich odpędzić, ani zaspokoić, wtedy wrzuć je w paszczę jakiejś wielkiej idei, która je wszystkie zmiażdży, połknie i uwolni cię od nich na zawsze. I właśnie w tej chwili, w chwili niezliczonych strapień, którym podołać nie możemy, stoimy wobec takiej olbrzymiej idei. Czytelnik zapewne domyśla się, że mówię o zamierzonej pielgrzymce do Rzymu. Jest to przedsięwzięcie nietylko bardzo wzniosłe i ogromnie potrzebne, ale w wysokim stopniu ratunkowe. Jak w wodzie królewskiej, tak w niem rozpuszcza się wszystko. Czy cię kto zaczepi żądaniem składki na powodzian, czy na studentów, każdemu możesz śmiało odpowiedzieć: zbieram i daję na pielgrzymkę do Rzymu. Niedość tego. Ta wyprawa uwalnia nas również od wszelkich innych obowiązków społecznych. Jak wiadomo, dla prostych jej uczestników ma być ułożony słowniczek i rozmówki polsko-włoskie, zastosowane do najpospolitszych potrzeb i wypadków w podróży

Jeżeli zaś takie dziełko ma być praktycznem, musi ono wyjść z doświadczeń i rozważań wielostronnych—czyli—niech każdy chętny i światły rozum zaofiaruje mu swoją cegiełkę. Co do mnie, radzę w owym podręczniku pomieścić następujące wyrazy i zdania z przekładem włoskim: „Tak, jesteśmy bardzo bogaci, żadnych pilnych potrzeb w kraju nie mamy, więc możemy sobie pozwalać na częste pielgrzymki do Rzymu.“ — „Nie sprowadza nas tu sama pobożność, lecz także obowiązek wdzięczności dla Stolicy Apostolskiej, która tak troskliwie zaopiekowała się naszymi braćmi w Niemczech.“ — „Rzeczywiście, ten rok jest trochę cięższy od innych: plony zawiodły, wylewy rzek zniszczyły szeroki obszar, ziarna mało, kartofli prawie niema, głód na przednówku zawitał, w miastach pracy brak — skutkiem tego wszystkiego nasi zacni przewodnicy poradzili nam zrobić wycieczkę do Rzymu.“ — „Pytasz pan (pani), czy my mamy wszystkie klepki w głowie? Ciekawość ta wydaje mi się nieco natrętną.“ — „Nie przeczę, że za koszta naszej podróży kilkadziesiąt biednych rodzin w kraju mogłoby wyżyć do nowych zbiorów, ale my mamy nadzieję, że po naszej pielgrzymce rzeki wylewać nie będą.“ — „Czy odebraliśmy jakieś wykształcenie? O tak, wszyscy jesteśmy zapisani do różańca.“ — „*Stupido* znaczy po polsku *głupi*.“

Wprowadzenie tych zdań do podręcznika uważam za niezbędne, gdyż z pewnością trzeba będzie niemi odpowiedzieć na pytania zdumionych a często niegrzecznych Włochów.

Go—on.

Rachunek sumienia.

Nadzwyczaj trafna i praktyczną była myśl redakcyi miesięcznika krytyczno-bibliograficznego *Książka*, zrobienia w szeregu zwięzłych artykułów obrachunku produkcyi naszej umysłowej za trzy ostatnie lata, pierwsze trzylecie nowego wieku. Myśl ta, urzeczywistniona w dodatkowym, trzynastym zeszycie *Książki*, jakież bolesne budzi refleksye, okrywając twarz rumieńcem wstydu na widok tego, co zdołaliśmy stworzyć w ostatniem trzechleciu na każdem polu nauki? Okazało się bowiem, że „w dziale chemii fizycznej, ogólnej, nie mamy literalnie ani jednej książki,“ że faktycznie prac naukowych z zakresu tej nauki wyszło tylko *ośm*, że z „geologii nie ukazał się ani jeden podręcznik,“ a z dziedziny etyki zaledwie parę broszur, z estetyki wreszcie nie ukazała się ani jedna praca samodzielna. Historya kultury i historya sztuki zostały zupełnie pominięte, bo, niestety, nie wydały ani jednej poważnej książki. Toż samo musimy powiedzieć o numizmatyce i sfragistyce. Słowem—rezultat, przechodzący nawet najskromniejsze wymagania. Bo niema takiej gałęzi wiedzy, w której nie miałaby nauka nasza ogromnych braków, chociażbyśmy tylko dla przykładu przytoczyli, że nikt nie zastąpił dotąd niezmordowanego Kolberga w etnografii; chociażbyśmy wskazali brak zainteresowania się archeologią i antropologią, które to nauki wegetują u nas zaledwie, podczas gdy w innych krajach wydały wspaniałe owoce; choćbyśmy nakoniec uprzytomnili sobie, jak słabo postępują badania językoznawcze. I to ma być wynik pracy narodu kilkunastomilionowego, narodu, roszczącego sobie pretensye do kultury europejskiej i szermującego tą rzekomą kulturą na każdym kroku, ile razy tylko chodzi o porównanie z innymi, pokrewnymi narodami?

Ale, skoro obrachunek ten wypadł tak mizernie, niepodobna nie zastanowić się chwilę nad przyczyną takiego stanu rzeczy. Że nie złożyła się na ten bardzo smutny rezultat jedna tylko, ale że jest ich więcej, to, sądzę, dla nikogo nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Wynika to bezwątpienia z braku środków na cele naukowe. Wiadomo, że praca naukowa na polu chemii nie powstanie, jeśli chemikowi nie damy odpowiednio uposażonego laboratoryum, tak samo jak astronomowi — porządnego obserwatoryum. Na to narzekało już wielu przede mną długo i... bez skutku. Ponieważ jestem przekonany, że wobec skąpstwa naszego społeczeństwa dla badań naukowych, głos mój nic nie zdziała, przeto też ani myślę powtarzać za innymi jeremiad lub apelować do kieszeni bogaczów. Syty głodnego nie zrozumie!

Widzę bowiem po za tą przeszkodą, tamującą wielce pochód naszej nauki, przyczyny inne, o wiele może groźniejsze, zastoju w badaniach naukowych. Przedewszystkiem tedy jego powodem jest *nie brak ludzi*, na który tylekroć wyrzekamy przy każdej sposobności, ale jedynie i wyłącznie *brak dobrej woli, brak chęci do pracy i poczucia obowiązku*. Bo u nas przeważnie ludzie rozpoczynają pracę naukową, niejednokrotnie bardzo pięknie, ale po niedługim czasie niemal całkowicie przestają pisać i pracować. Z łatwo zrozumiałych powodów niepodobna wymieniać tu nazwisk. Każdy jednak kto, chociażby ogólnie, śledzi ruch naukowy, uzupełni je sobie bez trudu. Ludzi, którzy napisali jedną, dwie lub trzy rozprawy naukowe, mamy bardzo wielu; takich, którzyby życie całe poświęcili badaniom naukowym — na palcach policzyć można. Stąd też katedra języków słowiańskich na uniwersytecie Jagiellońskim po Lucyanie Malinowskim nie była obsadzona przez lat sześć, bo nie było kandydatów. A przecież gdyby kto był po zgonie tego zasłużonego profesora poświęcił się specyalnie filologii słowiańskiej, niezawodnie byłby dobrze przyjęty. Ludzi, ubiegających się o tę posadę, było wielu, ale ani jednego godnego, bo każdy z nich miał po kilka rozpraw naukowych, żaden jednak nie napisał wybitniejszego dzieła. Ot! — drobna ilustracya braku chęci, nie ludzi. Przykładów ogólniejszych możnaby wiele przytoczyć. Po śmierci Wisłockiego nie było zawodowego bibliografa, którýby potrafił prowadzić „Przewodnik bibliograficzny.“ Przez pół roku tedy kierował tem pismem historyk, pomagał mu bardzo młody historyk literatury. *Wisły*, pismo etnograficzne, redaguje przyrodnik, lwowski kwartalnik *Lud* — językoznawca, w obu zaś tych pismach drukują się rzeczy ludzi zajętych zawodowo po większej części na wszystkich niwach naukowych — tylko nie w folklorystyce! Stąd też pochodzi, iż często dziwimy się, jak ten lub ów pracuje na różnych polach, niemających nic wspólnego z jego właściwym przedmiotem, i dziwimy się — najniesłuszniej w świecie. Bo często w braku człowieka, któryby mógł napisać o tem, czy o owem, musi z konieczności napisać taki, dla którego dany przedmiot jest prawie całkiem obcy. Ludzi, którzyby potrafili napisać i lepiej i gruntowniej, wprawdzie nie brak, ale cóż? kiedy braknie im chęci do pracy? I co dalej za tem idzie? Oto człowiek, pracujący w kilku dziedzinach wiedzy, nie może pisać tak wyczerpująco, jak specyalista, skutkiem czego poziom wartości prac jego obniża się bardzo. Nie można tu brać w rachubę braku jakichś laboratoryów lub urządzeń kosztownych, bo to, co powiedziałem, dzieje się właśnie w tych gałęziach wiedzy ludzkiej, które doskonale obchodzą się bez osobnych wkładów pieniężnych. Otóż, jestem pewny, że powodem tego jest nietylko brak poczucia obowiązku, ale też, w jeszcze większej mierze, rzecz inna. U nas przeważna część ludzi pracuje nie dla nauki samej, jako takiej, ale dla celu ubocznego, niemającego nic wspólnego z nauką. Skoro cel został osiągnięty — ustają w pracy na zawsze. Iluż to profesorów galicyjskich mógłbym przytoczyć na poparcie tego wszystkiego! Wszak oni mają niewątpliwie zupełną możność bezwzględnego oddania się nauce.

Drugim najważniejszym powodem jest brak należytej zachęty do pracy i poparcia. Tyczy się to w znacznej części tych, którzy stawiają pierwsze kroki na polu pracy naukowej. Niechaj np. taki młody człowiek zechce napisać obszerniejsze 20-kilkoarkuszowe dzieło, a przekona się, wiele mu ta praca przyniesie nieprzyjemności. Najważniejszą z nich będzie brak nakładcy. U nas dzieje się zazwyczaj tak, że o ile kto nie ma wyrobionej „firmy“ w świecie naukowym, ten może być pewnym, że nie znajdzie księgarza, któryby podjął się wydania jego dzieła. Przytrafia się to często nawet ludziom, mającym już znane nazwisko, bo księgarze, wiedząc dobrze, że praca naukowa nie daje takich zysków, jak choćby tandetna beletrystyka, wymawiają się brakiem funduszów oraz przeróżnemi innego rodzaju okolicznościami. Czy więc to może dodać bodźca do dalszego badania, jeśli się widzi, że po ciężkiej pracy — rezultaty jej odpoczywają w szufladzie biurka? Nie mówię wprawdzie o tem z własnego doświadczenia, bo jakoś los zdarzył mi życzliwych ludzi, którzy dopomogli w wydaniu pierwszych prac moich, ale znam dzieła ludzi poważnych, znam prace ludzi młodych, które wędrują od nakładcy do nakładcy, bo żaden z nich, przynajmniej dotychczas, nie chce się podjąć wydania. Dążność księgarzy do osiągnięcia jak największych zysków odbija się najfatalniej na naszej literaturze naukowej, działając zniechęcająco na ludzi pracujących samodzielnie. Przekład obcego dzieła może liczyć o wiele prędzej na nakładcę.

Nasi nakładcy nie umieją tak postępować, jak np. niemieccy lub rosyjscy, którzy przy każdej nadarzającej się sposobności wydają książki naukowe. Minęła setna rocznica urodzin Zalewskiego, a czy który z księgarzy pomyślał o tem, że nie mamy krytycznego wydania pism „słowika ukraińskiego“? Minęła setna rocznica urodzin Goszczyńskiego, a czy który z nich pomyślał o wydaniu naukowo opracowanej monografii autora „Sobótki,“ jakiej mu dotąd brakuje. Nadchodzi uroczystość Rejowska, a tu o monografii ani słychu (choć mają podobno wykończoną, dr. Bruchnalski), bo o zbiorowem wydaniu pism już nie wspominam. Tak więc nawet w chwilach, w których dane dzieła mogłyby znaleźć dobry odbyt, nakładcy nie troszczą się o to wcale. A niech-no jaki nawet lichy, współcześnie żyjący, pisarz obchodzi swój jubileusz, wnet pojawiają się: „wydania zbiorowe,“ „wybory poezyi“ itp., bo to rzecz „aktualna“, a zatem interes gotów. Tymczasem dawniejsi, nawet wybitni leżą w zapomnieniu — przez niedbalstwo i opieszałość księgarzy. Tak samo dzieje się na każdym kroku, na każdem innem polu naukowem. Obok naszych autorów nasi księgarze nie mają poczucia obowiązku, gdyby je bowiem mieli, poznaliby, że słusznem jest żądanie, ażeby część małą tego, co zarobili na rzeczach „aktualnych,“ obracali na wydawnictwo dzieł naukowych; choćby i takich, które przypuśćmy z góry — „nie pójdą“ w handlu księgarskim. Bo taki stan rzeczy, jaki obecnie panuje nie może nikogo zachęcić do pracy naukowej, to chyba jasne całkiem i zrozumiałe.

Obok wielu innych przyczyn pomniejszego znaczenia, o których z braku miejsca wolę zamilczeć, wiele tu waży też zawiść, jaka panuje między ludźmi nauki. Smutne to wprawdzie bardzo, — ale też bardzo — niestety — prawdziwe! Niechaj np. dwu lu-

...zi pracuje nad jedną i tą samą kwestyą naukową i niechaj jeden z nich wyda owoc swojej pracy wcześniej od drugiego, a zobaczymy, co z tego wyniknie. Oto ten drugi nie będzie wcale z tego zadowolony, że ktoś obok niego samodzielnie doszedł do tych samych rezultatów, choćby miał jasny dowód, że owoce jego trudu są dobre. W takim wypadku nie chodzi o prawdę, a jedynie o zadraśniętą ambicyę osobistą. Wówczas najczęściej ten drugi zabiera się do wyszukiwania drobnych usterek w dziale swego poprzednika i wydaje o niem taki sąd, jaki wydał niedawno p. Hahn o książce dr. K. Ilecka o Szymanowiczu. Tu nie chodzi o prawdę, która powinna być jedynym celem badania naukowego, ale o coś zupełnie innego. Niechaj dalej kto się źle wyrazi o drugim autorze, może być pewnym, że albo sam on, albo ktoś z jego przyjaciół przy najbliższej sposobności wypłaci mu z nawiązką. U nas bowiem, powtarzam, nie pracuje się dla idei, dla prawdy, ale dla celów ubocznych, dla zadowolenia ambicyi, zrobienia karyery. Smutne to, ale niepodobna zasłaniać tej rany!

Dr. St. Zdziarski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Dodatki nadzwyczajne.

Bylibyśmy bardzo wdzięczni pismom codziennym za wydawane dodatki z nowinami wojennemi, gdyby te nowiny, godne uwagi i pospiesznego rozpowszechnienia, rzeczywiście istniały. Ale na nieszczęście dla ulicznej sprzedaży dzienników tak nie jest. Od ataków floty japońskiej na Port Artura w początkach lutego i owładnięciu przez nią Czemulpo nie zdarzył się w ciągu paru tygodni na obszarze wojennym ani jeden wypadek, któryby nadawał się do ogłoszenia w nadzwyczajnym dodatku. Tymczasem gazety codziennie wypuszczają kartki papieru, zadrukowane zbieraniną najpospolitszych wiadomości, które roznosiciele polecają przechodniom pod najrozmaitszemi, zwykle fałszywemi hasłami: „Straszna bitwa morska! Pięć pancerników japonskich zatopionych! Okropny wybuch torpedy!“ itp. Dziesięć razy zawiedziona publiczność, kupuje te świstki po raz jedenasty, bo ciągle podnieca ją uzasadniona nadzieja dowiedzenia się czegoś ważnego i stanowczego. Redakcye zaś podtrzymują sztucznie pozór tej ważności nietylko samym faktem wydawania dodatków, ale nadto za pomocą odznaczania pewnych telegramów wielkiemi czcionkami. Te wyróżnienia są tak dalece robione mechanicznie, bez wyboru lub znajomości rzeczy, że często dostępują tego zaszczytu właśnie najbłahsze pogłoski.

Więc prośba: skutkiem nieurodzaju, drożyzny i wojny kieszenie ogółu naszego bardzo schudły; niech więc panowie wydawcy raczą to uwzględnic i nie wyciągać z nich haraczu na bezpotrzebne dodatki.

Prześcignięci.

Ktoś zaznaczył, że liczba przejechan przewyższyła już liczbę rozpraw nożowniczych. Uwaga słuszna, ale zestawienie całkiem niewłaściwe. Naprzód bowiem nożownictwem trudnią się „męty społeczne,“ a przejeżdżaniem ludzi „śmietanka towarzyska.“ Nie można przecie porównywać zawodowego złodzieja, który w napaści lub sporze wbija komuś „majcher,“ ze złotym młodzieńcem, który każe dorożkarzowi wieźć się co konie wyskoczą przez najruchliwsze ulice. Powtóre, wytępić nożowiectwo jest bardzo trudno, wytępić zaś przejeżdżanie bardzo łatwo. Potrzecie — pierwsze jest zabronione, a drugie dozwolone. Takiego pana, który tylko nosi przy sobie nóż sprężynowy w celach podejrzanych, biorą do kozy; ale takiego pana, który pędzi „na gumach“ przez zatłoczone ulice z taką szybkością i swobodą, jakby się ścigał z wiatrem na stepie, nikt nawet słowem nie powstrzyma. W jednym tylko punkcie te dwa objawy się stykają, mianowicie, oba zdarzają się bardzo wyjątkowo w społeczeństwach kulturalnych. Gdyby Farys warszawski „na gumach“ tak się rozhulał na ulicach Berlina lub Paryża, zanim zdążyłby kogoś przejechac, zaprowadzonoby go do kozy łącznie z nożowcem. Tę wewnętrzną politykę, której skuteczność została dawno wypróbowaną, wartoby u nas zastosować, a z pewnością ilość zgonów pod kołami dorożek i prywatnych powozów znacznie się zmniejszy.

Jeszcze są.

P. Cz. Tański, zastanawiając się w *Wieku* nad wznoszoną z mozołem Szkołą sztuk pięknych, znajduje w niej „dwa punkty niesympatyczne i osłabiające jej powagę.“ Naprzód wydział sztuki stosowanej. Nauka takiej sztuki, według p. T., nie istnieje, jak nie istnieje nauka muzyki stosowanej, w czem autor się myli, bo muzyka taneczna jest stosowaną. Ale daleko bardziej gorszy go drugi punkt — wspólne studya kobiet i mężczyzn. „Nie trzeba być wcale przeciwnikiem emancypacyi — powiada on — żeby wiedzieć, że kobiety bardzo rzadko zostają artystkami, a jeszcze rzadziej posiadają umysł istotnie twórczy. Ogromny więc procent kobiet, którego należy się spodziewać wobec panującej mody do malarstwa, nada odrazu szkole poziom dyletancki. Oprócz tego trudno przypuścić, ażeby sama obecność pań mogła wytworzyć dobrą, skoncentrowana (?) atmosferę koleżeńską.“ Że tacy gospodarze społeczni u nas jeszcze są, wiedzieliśmy; ale że oni odezwą się głośno z powodu Szkoły sztuk pięknych — nie sądziliśmy. Jest to bowiem dziedzina, w której nawet najzapaśniejsze mamuty równouprawniają kobietę z mężczyzną. Rozprawiać się szczegółowo z protestem zwolennika „skoncentrowanej atmosfery“ nie będziemy, bo ten obowiązek ustąpił już z zadań poważnej publicystyki; ale polecimy jego uwadze następujące pytania. 1) Jeżeli z wyjątkiem Akademii petersburskiej, wszystkie inne są wyłącznie męzkie, skąd p. T. wie, że kobiety nie posiadają zdolności artystycznych i obniżają poziom szkoły?; 2) dlaczego nie przytoczył dowodu, że one wywarły taki wpływ w Akademii petersburskiej? 3) Co to znaczy, że ona „zasobna w środki może pozwolić sobie na podobne eksperymenty,“ kiedy uczennice nie uszczuplają, lecz pomnażają dochody szkoły? 4) Skoro p. T. nie chce do niej wpuścić kobiety, twierdząc, że „jej rola wielka i piękna leży po za szkołą,“ czy nie zechciałby założyć towarzystwa, ubezpieczającego kobietom tę „wielką i piękną rolę“? 5) Czy p. T. uświadomił to sobie, ze zalecany przez niego zakaz pochodzi ze starej i zacnej rodziny „praw wyjątkowych, która szybko wymiera i niedługo będzie pokazywana, jako przeżytek?

Syndykat muzyczno-krytyczny.

Sprzeczności między sądami w krytyce naukowej i estetycznej są zjawiskiem dawnem, naturalnem, a nawet pożądanem. Ale te komiczne i gorszące przeciwieństwa, których widowisko daje nasza krytyka muzyczna po każdym koncercie lub operze, pozostawiają tylko dwa przypuszczenia: albo ci sprawozdawcy wcale nie znają się na tem, o czem piszą, albo tendencyjnie fałszują swe zdania dla jakiejś skrytej rachuby. Bo jaskrawe między nimi różnice nie dotyczą ocen gry lub utworu, ale samych rzeczy. Podczas gdy jeden twierdzi, że fortepianista ma silniejszą rękę lewą, drugi utrzymuje, że prawą; gdy jeden nazywa nową operę melodyjną, drugi odmawia jej zupełnie melodyjności; gdy jeden przyznaje śpiewaczce moc i czystość w tonach górnych, drugi — w dolnych itd. Słowem, po przeczytaniu kilku recenzyj muzycznych zdaje nam się, że ich autorowie urządzili sobie jakieś igrzysko wzajemnej przekorności. Co dla jednego jest białym psem, to dla drugiego czerwoną gęsią, przyczem jeden płacze, drugi śmieje się. Jeśli to nie jest umyślne przekomarzanie się, lecz niezgoda przypadkowa, to doprawdy w interesie swej godności i znawstwa nasi krytycy muzyczni powinni utworzyć syndykat, w którym zobowiązaliby się głosić opinie przedtem wspólnie umówione. Dla publiczności byłby tenże sam pożytek, co z obecnego chaosu, a przynajmniej publicznego zgorszenia byłoby mniej.

Z emigracyi naszej.

Dziesiątki i setki tysięcy ludu naszego emigrują od długiego szeregu lat za ocean, i to z takim skutkiem, że obecnie blizko dwa miliony Polaków zamieszkuje rozmaite części rozległych Stanów Zjednoczonych Am. Półn. Jedni z nich, dorobiwszy się sporego grosza, wracają do kraju i tu zastosowują nabytą za morzem wiedzę lub zyskane doświadczenie; drudzy zaś osiedlają się na stałe, a jakkolwiek znaczna część ich dzieci wynaradawia się juz w drugiem lub trzeciem pokoleniu, czemu i dziwić się, znając stosunki, nie można, to jednak oni sami pozostają do śmierci Polakami, ratują część młodego, w Ameryce zrodzonego pokolenia od wynarodowienia i łączą się w jedną całość z świeżymi przybyszami.

Ci to, po polsku myślący i czujący emigranci amerykańscy, pragnęliby zawiązać z krajem macierzystym stosunki handlowe, bądź dlatego, że chcą mieć wyroby, do których w domu przywykli, bądz też dlatego że, korzystając ze swej znacznej ilości i jakiej takiej zamożności chcą poprzeć niektóre gałęzie przemysłu krajowego.

W mieście Detroit, w stanie Michigan, gdzie znajduje się dosyć liczna kolonia polska, zawiązała się emigracyjna Komisya przemysłu i handlu, mająca właśnie na celu nawiązanie tego czysto handlowego stosunku z krajem macierzystym; komisya ta pragnie dowiedzieć się, czy są takie wyroby krajowe, któreby nadawały się do wywozu do Ameryki, a w tym celu zwraca się do odpowiednich organizacyj handlowo-przemysłowych z zapytaniem, jak się na ten zamiar zapatrują? i czy komisya mogłaby liczyć na ich pomoc w tym względzie?

Nie wiadomo nam jeszcze, jaki obrót sprawa ta weźmie, lecz zdaje się, że z handlowego punktu widzenia należałoby projekt rozważyć i poprzeć. Wszak przemysł nasz produkuje w znacznej mierze na wywóz, przeto obok rynków na Blizkim czy Dalekim Wschodzie powinienby spróbować zyskać dla siebie i amerykański, o ile wyrabiają się u nas rzeczy, przez emigracyę naszą pożądane, wytrzymujące drogę morzem i mogące znieść cła ochronne oraz współzawodnictwo potężnie rozwiniętego już przemysłu amerykanskiego.

Zapewnienie stałego zbytu jest czynnikiem bardzo doniosłym, istnienie umyślnej organizacyi też upraszcza cały proces, a po porozumieniu się wzajemnem mogłoby się okazac, że pokusić się o to warto.

W tej chwili rzucamy więc te kilka uwag dla postawienia sprawy na porządku dziennym, zastrzegając sobie jeszcze głos w odpowiedniej po temu porze, gdy usiłowania przyniosą już jakiś rezultat pozytywny.

BADANIA NAUKOWE.

Nieśmiertelność organizmów.

Zagadnienie śmierci ściśle związane jest z kwestyą problematycznego istnienia organizmów, w naturalnych warunkach śmierci nie podlegających.

Istnienia takich nieśmiertelnych organizmów dowodził Weissman („Ueber die Dauer des Lebens“ 1882, oraz „Ueber Leben und Tod,“ 1884). Utrzymywał on, iż pomiędzy istotami wielokomórkowemi i jednokomórkowemi pierwotniakami istnieje ta zasadnicza różnica, że pierwsze z nich *muszą* podlegać śmierci, drugie zaś śmiertelnemi być *nie mogą*.

Rozumowania jego w ten sposób dadzą się streścić.

Istotną cechą, oznaką śmierci jest obecność trupa; gdzie nie ma trupa, tam nie możemy mówić o śmierci.

Nie znamy ani jednego wielokomórkowego organizmu, któryby nawet przy zbiegu najpomyślniejszych okoliczności nie uległ naturalnej śmierci, nie stał się trupem. Śmierci tej unikają te tylko jego komórki rozrodcze, które mogły zawczasu opuścić skazane na zagładę swe współtowarzyszki— komórki cielesne, i dać początek młodemu organizmowi potomka.

O ile więc z natury swej śmiertelne są wszystkie komórki somatyczne, o tyle nieśmiertelnemi być muszą (potencyalnie) — komórki jajowe i plemniki.

Co innego z pierwotniakami. Tu całe ciało złożone jest z jednej pojedynczej komórki. Komórka ta jest jednocześnie i somatyczną i rozrodczą.

W chwili rozmnażania rozpada się ona na dwie części, i każda z nich jako samodzielna, odmłodzona istota prowadzi dalej bez przerwy życie komórki macierzystej.

Trupa tu nie ma.

Na tej zasadzie Weissman uważa, iż wymoczki np. żyć mogą wiecznie, śmierć zaś tkankowców wypływać ma ze szczególnych warunków ich organizacyi, że ich śmierć jest niejako zjawiskiem przystosowania się do specyficznych warunków życia, że śmierć *powstała*, rozwinęła się w ciągu wieków na drodze ewolucyi, jako zjawisko dla gatunku pożyteczne.

Jeżeliby — rozumuje dalej Weissman — śmierci podlegały osobniki pierwotniaków, to zjawisko to pociągnęłoby za sobą musiało zniknięcie gatunków tych istot z widowni życia, gdyż nie wytwarzają one żadnych specyalnych produktów płciowych przeznaczonych do wytwarzania potomstwa.

Zupełnie zaś co innego zachodzi wśród tkankowców. U tych, im wyższą one osiągają organizacyę, im na wyższym stoją szczeblu drabiny ewolucyjnej, tem wyraźniej występują różnice pomiędzy komórkami rozrodczemi, przeznaczonemi wyłącznie do utrzymania gatunku, a resztą ciała, zatracającą zdolności reprodukcyjne.

Tu więc śmierć możliwą jest bez szkody dla istnienia i rozwoju gatunku, gdyż wystarczy, azeby chociaż jedna komórka jajowa lub jeden plemnik znalazły odpowiednie warunki rozwoju, i to już egzystencyę i utrzymanie gatunku gwarantuje.

U tkankowców więc nieśmiertelność komórek somatycznych byłaby bezużytecznym dla gatunku zbytkiem, nieposuwającym rozwoju gatunkowego ani o jeden krok naprzód; życie zaś organiczne nigdy na zbytki sobie nie pozwala — przeciwnie jak najściślejszą zaprowadza we wszystkich objawach biologicznych ekonomię i oszczędność.

Na drodze więc znanego doboru naturalnego organizmy wielokomórkowe zatraciły nieśmiertelność, a otrzymały celowe zjawisko śmierci.

Pomimo całej logiczności tych rozumowań, w dowodzeniach Weissmana wytknięto pewne słabe strony.

Pierwszy zarzut, jaki argumentacyi Weissmanowskiej zrobiono, był ten, że brak lub obecność *trupa* nie mogą jeszcze decydować o śmiertelności lub wiecznem trwaniu organizmu; za zasadę rozstrzygającą w tej sprawie przyjąćby raczej należało utratę lub zachowanie *indywidualności*.

Wymoczek, rozmnażając się, ulegając podziałowi, przez to samo traci swą indywidualność — ustępując ją dwom pochodnym osobnikom potomnym. Chwilę więc rozmnażania się pierwotniaków właśnie możnaby uważać za ich śmierć naturalną.

Zresztą w zarzucie tym, jak widzimy, idzie o odmienny punkt widzenia, o inne określenie pojęcia, nie zaś o zmianę istoty faktu, gdyż tak dobrze za podstawę sądu o śmierci przyjąć można obecność trupa, jak i utratę indywidualności.

Istotniejszy, bo oparty na faktach zarzut Weissmanowi zrobił Maupas (Recherches experimentales sur la multiplication des infusoires ciliés“).

Na zasadzie licznych bardzo ścisłych doświadczeń i obserwacyj uczony ten francuski dowiódł, iż twierdzenie Weissmana o nieśmiertelności wymoczków jest zupełnie błędne.

Wykazał on mianowicie, iż po pewnym szeregu powtarzającego się podziału rozrodczego, skutkiem czego otrzymano liczny szereg pokoleń wymoczków, istoty te zaczynają podlegać naturalnemu zwyrodnieniu, szczególniejszej postaci uwstecznienia starczego, kończącego się śmiercią i utrata zdolności bezpośredniej do dalszego odradzania się. Tylko t. zw. proces kopulacyi lub konjugacyi, polegający na zlaniu się dwóch takich *zestarzałych* osobników, lub przynajmniej po wzajemnej wymianie pomiędzy niemi pewnych części jądrowych, wymoczki odmładniają się, odzyskują zdolność do dalszego podziału. Mamy więc tu do czynienia z takiem samem zjawiskiem zwyrodnienia starczego, jakie właściwe jest organizmom wielokomórkowym. Od niechybnej śmierci ratuje tu tylko komórkę proces zlania się całkowitego lub częściowego dwóch komórek zupełnie w ten sam sposób, jak u zwierząt wyższych lub u człowieka śmierci unikają te tylko komórki rozrodcze, które po zapłodnieniu dają byt potomkowi.

Maupas więc stanowczo obala tę różnicę, jaką pod względem śmiertelności starano się wykazać pomiędzy istotami jednokomórkowemi i wielokomórkowemi.

W obronie poglądu Weissmana wystąpił jednak Gruber („Biologische Studien an Protisten,“ 1889), spór ten oświetlając w ten sposób.

Wprawdzie te osobniki, które wypadkowo odbyć konjugacyi nie mogły, giną; w naturalnych jednak warunkach wymoczki normalnie konjugują — tak iż ciało ich, materyał tworzący to ciało, w zasadzie — są nieśmiertelne.

Gdybyśmy się jednak i zgodzili na tę uwagę Grubera, to i tak przeciwko poglądowi Weissmana uwzględnić musimy inne, niekorzystne dla niego okoliczności, szczególniej badania G. Hertwiga, który wykazał niezbicie, iż procesu konjugacyi i kopulacyi, odbywających się pomiędzy wymoczkami, nie można uważać za całkowite przekazywanie potomkom swego ciała jednokomórkowego. Wykazał on mianowicie, iż podczas aktu takiego, odpowiadającego zjawiskom zapładniania organizmów wielokomórkowych, część każdej z konjugujących komórek, mianowicie główne jądra oraz pewna część jąder dodatkowych giną, zamierają. Części te rozpadają się na drobne kawałki i jako pokarm zużyte zostają przez żywą zarodź.

Widzimy więc tu niewątpliwie pewne, martwiejące części komórki — widzimy trupa. Że trup ten zostaje niezwłocznie spożyty przez pozostającą przy życiu część plazmy, to zaobserwowanego faktu wcale nie zmienia, gdyż i wśród organizmów najwyżej uorganizowanych widzieliśmy podobne zjawiska zjadania zamierających części przez żyjące.

Przypomnę tu np. pochłanianie zanikających tkanek w ogonie kijanki przez fagocyty (tj. przez białe ciałka krwi) podczas przeistaczania się jej w żabę.

Jeżeli więc podczas odradzania się na drodze konjugacyi wymoczków widzimy to umieranie pewnej części mikroskopowego ciała tych istot, nie może być mowy o bezwzględnej ich nieśmiertelności; z drugiej zaś strony upada wykazywana przez Weissmana zasadnicza różnica pomiędzy pierwotniakami i tkankowcami na zasadzie przyjętej przezeń miary: braku lub obecności trupa; trup wykryć się daje w końcu indywidualnego życia wszystkich bez wyjątku organizmów — tak wielokomórkowych, jak i jednokomórkowych.

Rzeczywista różnica, jaka na pierwszy rzut oka, nam pod tym względem wydaje się istotną, sprowadza się do stosunków ilościowych pomiędzy masą ciała (komórkami somatycznemi) umierającą a materyałem tej śmierci unikającym (produktami rozrodczymi).

U tkankowców komórka jajowa lub plemnik stanowi zaledwie milionową część wagi umierającej masy komórek somatycznych; z wymoczkami zaś dzieje się wprost przeciwnie; tu zamierają odrobiny ciała, pozostaje zaś przy życiu główna masa plazmy.

Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na tę olbrzymią masę produktów rozrodczych, jaką wydzielają z siebie niektóre zwierzęta wyższe przez cały czas wieloletniego swego bytu, to i ta różnica okaże się tylko pozorną.

Skrzek np. złożony przez całe życie samic żab, na wagę o wiele przewyższa ciężar ciała tych zwierząt; w rezultacie więc i tu, jak i u wymoczków, unika śmierci, jest niejako nieśmiertelną daleko znaczniejsza część, niż ta, która skazana jest na zagładę.

Przychodzimy więc do tego ogólnego wniosku, iż tylko część ciała wszystkich bez wyjątku (zbadanych dotychczas) organizmów) przekazywana zostaje następnemu pokoleniu. W ostatnich wreszcie czasach dowiedzionem zostało, że te ze zwierząt jednokomórkowych, które rozmnażają się za pomocą t. zw. zarodników, jak np. hurmaczki, radiolarye morskie (np. rodzaj Thalassicola) przedstawiają wręcz odmienne, niż u wymoczków, stosunki podczas rozmnażania. Ciało tych istot w okresie rozrodczym otacza się szczególną torebką, cystą; wewnątrz tej torebki z jądra i z pewnej, nieznacznej stosunkowo części plazmy wytwarza się pewna ilość t. zw. zarodników, które opuszczają jako pływki torebkę i, pływając w wodzie, zwolna kształt i wielkość organizmu macierzystego otrzymują. Przeważna zaś ilość plazmy macierzystej zamiera, staje się rzeczywistym i to znacznych stosunkowo rozmiarów trupem.

Wreszcie pojęcie Weissmana o nieśmiertelności pierwotniaków i komórek rozrodczych organizmów wyższych i z tego wzglę-

...jest nie do przyjęcia, że pozostaje w niezgodzie z zasadniczemi pojęciami nowoczesnej fizyologii ogólnej, szczególnie z pojęciem o przemianie materyi.

Weissman pojęcie o nieśmiertelności organizmów (jako jednostek żywych) sprowadza do pojęcia o nieśmiertelności materyi ożywionej wogóle. Dla niego część organizmu, chociażby częścią tą była okruszyna plazmy, nieprzechodzaca w stan trupa, jest nieśmiertelna.

Nowoczesne zaś nasze pojmowanie procesów życiowych przedewszystkiem opiera się na tym fakcie, że cząsteczki żywej materyi ciągłej ulegają dezorganizacyi, ciągłemu rozkładowi, stałemu zamieraniu. Przy tem zamieraniu, któremu nieodłącznie towarzyszy proces asymilacyi, odradzanie się, organizacyi, wyładowują się właśnie te siły fizyczno-chemiczne, które stanowią istotę zjawisk fizyologicznych.

Uważanie więc jakiejkolwiek materyi uorganizowanej za nieśmiertelną stanowczo nie zgadzą się z naszem pojmowaniem fizyologicznej strony zjawisk życiowych, tem więcej nie zgadza się z ogólnym, filozoficzno-przyrodniczym poglądem na budowę i ewolucyę wszelkich układów materyalnych.

Słusznie więc powiada Verworn: „Ani określony system materyalny, ani materya ożywiona, ani określony układ ruchu, jakim jest życie, nie mogą być nieśmiertelnemi, nieśmiertelną i wieczną ze wszech ciał światowych jest tylko pierwotna materya i jej ruch.“

Kazimierz Kulwieć.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Achilleis. Sceny dramatyczne. Napisał S. Wyspiański. Kraków, 1903.

Roztacza się przed czytelnikiem plastyka prawdziwie grecka — mnóstwo grup olśniewa. Wyspiański-malarz wspiera Wyspiańskiego-poetę: homeryckie pole bohaterskich walk w perspektywie, miejsce naczelne zajmuje sroga scena walki niepokalanych dusz bohaterów.

Nie chcemy wchodzić w to, czy i o ile Wyspiański odstąpił od Iliady — wystarczy zaznaczyć, że powód starcia Grecyi i Ilionu i główne postaci pojął oryginalnie i niezależnie, że „Achilleis“ przeróbką nie jest, że sama walka osób w swej psychologii nie jest w niczem podobną do psychologii walk homerowych, i że toczący się bój jest rozprawą ludzi, na których ma się spełnić wola człowieka; że zwycięzkie zastępy greckie poczynają na gruzach zdobytego Ilionu to samo życie, którem żyli pokonani, by się jak tamci postarzeć i doczekać dnia zgonu. „Nie wrócisz do ojczyzny, iżeś śmiał odpłynąć, tutaj tobie sądzono zwyciężyć i zginąć.“ Wszystko, co dał Homer, nic nas nie obchodzi — chcemy patrzeć na to, co mamy przed sobą. Ogół osób działających u Homera pod wpływem tej samej tężyzny motywów zaborcy, a dzielący się na grupy tylko wtedy, kiedy idzie o sprawy czysto materyalnej natury, występuje u Wyspiańskiego już na samym wstępie w różnorodnem zabarwieniu i z odmienną konstrukcyą duchową. Więc widzimy z jednej strony Agamemnona, Odysa, Nestora, Oileńczyka, jako królów i wodzów tłumu najrozmaitszych Tersitesów, a z drugiej strony duszą żyjących: Ajaksa, Menelaosa, Diomedesa i najpotężniejszego siłą uczucia i szlachetnych porywów — Achillesa. Węzeł dramatyczny, łączący luźne obrazy (jest ich 26) w całość, zadzierzgnięty jest pomiędzy osobami tego drugiego rzędu z równorzędnymi osobnikami w świecie trojańskim, podzielonym analogicznie z obozem najeźdźców. Nad nimi to, zmagającymi się nie potęgą krwawego miecza, ale rozpierającą mocą wrącej psychy, zawisło greckie fatum, panując nad wszystkimi niepodzielnie. W obronie tych wszystkich, którym nad mnogimi ludami, konającymi u stóp wodzów, dla grzechu wodzów, oddane jest wództwo; w obronie błaznów — Tersitesów ma Achilles walczyć z Hektorem, z mężem, „którego serce prawością niewinne i boża nad którym opieka, co nad inne wyrósł męże.“ Ma walczyć w zbroi, „która nie będzie walczyła, gdy zechcesz zło czynić.“ A Hektor walczy w obronie ojczyzny i żony i dziecka — lecz ochraniać musi i „zbójów bezczelnych z Parysem na czele.“ Obaj to rozumieją więc dusze ich każą im wzajem się szanować i wspierać. Achilles śle swoją tarczę Hektorowi na znak pojednania — lecz Patrokles, ustrojony Achillesa zbroją, zamiast pokój zawrzeć, wszczyna z Hektorem walkę i w walce ginie. Wie, że go Achilles pomścić musi — Hektor zginie, zwycięży Odysseus. Tak chce fatum i tak być musi. Tragedyę tych dusz rozwiązuje śmierć.

A nad wszystkiem góruje tęsknota i Miłość-Afrodyte, wprowadzona przez Parysa do jego łożnicy. Ilium zdobyte podstępem Odysa rozsypuje się w gruzy. Na gruzach staje pędzony tęsknotą zdobywca Menelaos — po promieniu w szacie gwiazd zstępuje jak senna Afrodyte. By zwolnić od niej leżących przed nią Trojan, Menelaos wznosi miecz krwawy, lecz spojrzawszy jej w oczy, staje bezsilny, zapatrzony w boską twarz władnej Miłości. Miłość przymknęła oczy ukochanemu Parysowi. Jego śmierć rzuca pod nogi Afrodyty-Heleny pogromcę, stawiając mu kolebkę potęgi i grobu. I tak nieubłaganie rządzi fatum dalej. Mrze wszystko, co wzrosło ponad tłum szary, co się rwało ku niebu, wieczności. Zostało robactwo, płazy, brudy. „Gdy Achilles w swej dumie żagle w lot rozwinął, wśród oklasków narodu Tersites odpłynął...“

Taki też los służebnicy Apollina, Kasandry, taki Rezosa, Laokoona i jego synów. Cmentarze pół-bogów, nie łotrów pokryją.

Więc całe dzieło, po uprzedniej analizie zszeregowanych wypadków na gruncie walk dwóch światów, staje ostatecznie jako synteza, synteza uczuć, myśli i pojęć o ludziach, podzielonych na klasy i typy. Równie jak w „Wyzwoleniu“ ziszcza tu poeta zasadę dramatu, nakazującą tworzenie postaci dramatycznych, obejmujących w sobie pierwiastki powszechne i indywidualne, wyrażające w sztuce największą prawdę, że istota ludzka urzeczywistni się jedynie jako kontrast między ja i nie-ja. A możliwe to tylko tam, gdzie życie nie pochłania bezwzględnie jednostki, potrzebującej swobody czynu i myśli, gdzie to życie nie wtłacza osobowości w życie grupy, lub gdzie z drugiej strony indywiduum przez absolutną dowolność działania nie traci uczuć ogólnych. Tylko tam, gdzie ten pośredni typ istnieje, możemy mówić o tej wyraźnej, choć tajemniczej wielkości, jaką jest Konrad i Achilles u Wyspiańskiego.

Ileż jednak pozostawia do życzenia sama logiczna konstrukcya dramatu? Nie ulega wątpliwości, że Wyspiański, znacząc w tytule: „sceny dramatyczne,“ nie chciał dać zlepku rozbieżnych, epizodycznych zjawisk, ale dramatyczną *całość*, dowolnie pojętą ale jednolitą i zwięźlejszą od sag i mitów starogreckich aoidów, że budował dramat. Czytelnik przystępuje z otuchą i wiarą, że znajdzie nie wiązankę epicznych form, ale produkt artystyczny zdolnego do *dramatycznej* syntezy umysłu; że twórca „Wyzwolenia“ pominie malowniczość greckiej dekoracyi, zawsze epizodycznej, dla dramatu nieważnej, psującej tylko jego spoistość i architektonikę. I ta wiara zawodzi: dramaturg ulega stanowczo malarzowi, więc po brzegach utworu tłuką się wszystkie opowieści homeryckie z całą swoją naiwną treścią. Spór o brankę Bryzejdę, wejście Pryama do namiotu Achillesa z korną prośbą o wydanie zwłok bohatera-syna, mit o trojańskim koniu, o stosunku Kassandry do swoich ziomków, wysuwane machinacye Odysa ciągle na plan bliższy itd. itd., wszystko to gmatwa całkowicie krzyżowanie się idei i dramatycznej ciągłości, usuwając momenty najważniejsze dla dramatu na plan dziesiąty. Niepodkreślony stosunek Achillesa do Polikseny, będący niewątpliwie jednym z głównych powodów sympatyi tego bohatera do Trojan, luźny związek między Hektorem a Pryamem i Parysem, a co najważniejsze — przymglenie stanowiska Achillesa i jego niezależności wojenną akcyą obu obozów, jest niewątpliwie wadą dramatu, podobnie jak wszystkie miejsca, oddające prywatne, dla dramatu zupełnie nieważne życie Greków, ich stosunki z brankami, pijatyki, rozpustę, puszczanie przedmiotów chwilowej swojej miłości w kurs po sąsiednich namiotach itp. Bezczelnie małpujący wszystkich Tersites, łażący za Odysem i Achillesem, mógłby w ściślejszej konstrukcyi dramatycznej zająć jedną z najważniejszych pozycyi w dramacie tylko dla bezgranicznego swojego cynizmu — tu w tym szalonym natłoku kalejdoskopowo zmieniających się sytuacyj i osób wprost zawadza, zabierając dużo czasu i miejsca. Diomedes, Agamemnon, Ajax, Pentesilea, Hipodamia i wszystkie te nieprzeliczone szeregi helleńskie, lekko naszkicowane, zdaje się tylko dlatego by czytelnik nie zapomniał, że istnieją i żyją pod Troję, dopełniają chaosu i przysłaniają widok na osoby i akcyę, stanowiącą właściwy zawiązek dramatu.

Chcąc wynieść wrażenie, poprzednio podkreślone, musi się zapomnieć o istnieniu starej Epopei i wszystkich następnych dodatków, o wszystkich interpretacyach tych podań i mitów i pamiętać o trudnościach, jakie poeta musiał usunąć i pokonać...

Autor „Wyzwolenia“ tkwi jeszcze w marzeniu o czynie, wpatrzony w ów, nieba sięgający, symbol duszy ludzkiej i jej promieniowanie, a obojętne mu zupełnie, gdzie i kogo te promienie pochwycą i zduszą... Rany się goją pod działaniem miękich, usypiających dźwięków muzyki fal, szepcących mu o królestwie „ponad wszystka ziem narodu.“

Edmund Weisberg.

ZE SZTUKI.

Wystawa J. Fałata i innych w Tow. Zach. Sztuk Pięknych.

Wystawa Juliana Fałata zgromadziła sto kilkanaście prac w największej sali Towarzystwa Zachęty. Mamy tu dzieła różne: dawniejsze i nowsze, olejne, gwaszowe i akwarelowe, niewyłączając obrazów malowanych suchemi farbami olejnemi, które mając formę laseczek pastelowych, w podobny też sposób używają się i dają podobne rezultaty.

Zapewne, że „Fauny w pustem drzewie“ trzeba uważać tylko za probę tego nowego środka malarskiego. Artysta, pociągnięty nowością techniki, doświadczał jej, szkicując bez pretensyi zapewne do stworzenia dzieła sztuki, któreby mogło wytrzymać krytykę poważniejszą. Uważamy więc je za

prosty szkic i pierwszy pomysł. W przeciwnym razie musielibyśmy mu zarzucić: dużą pobieżność wykonania, błędy rysunkowe i wreszcie już wyzyskany temat. Te fauny są motywem tak oklepanym, że doprawdy potrzeba dużej oryginalności, żeby stworzyć coś własnego. Za Böcklinem pochwycili je Niemcy, a za Niemcami nasi artyści. Jednym z pierwszych, jeśli nas pamięć nie myli, był Antoni Piotrowski, który przed kilkunastu laty dał bardzo dobry obraz, przedstawiający rodzinę faunów śród polskiego, jesiennego krajobrazu leśnego. Dola tych biedaków w warunkach klimatu północnego była wybornie scharakteryzowana.

Później Jacek Malczewski przykuł do swego nazwiska kilka typów faunów, które ma prawo za swoje własne uważać. Inni wysilali się również na faunów, wyobrażając sobie, że bez tego aparatu nie mogą wejść do rzędu artystów utalentowanych, oryginalnych i co najważniejsze, prawdziwie *moderne*. Dzięki temu mamy po uszy tych faunów śród krajobrazu śnieżnego.

Fałat dał nam ich nową edycyę, wprawdzie ani powiększoną, ani pomniejszoną, ale bądź co bądź należącą do modnych artykułów sezonowych. Pomijam więc ten obraz, gdzie wszystko się wali, gdzie proporcye pozostawiają wiele do życzenia, a z dziupli drzewa, mogącej pomieścić dwoje dzieci, wyciąga ręce cała zgraja faunów, jakby na rynku panopticum z fenomenem XX wieku — kobietą mającą tylko głowę bez reszty ciała.

Gdyby taki obraz wystawił artysta nie tak wybitny, można byłoby przejść nad nim do porządku dziennego, jak nad każdą banalnością nieszczególnie opracowaną, ale publiczność bardzo jest wrażliwą na dźwięk głośnego nazwiska i z góry już jest pod jego wpływem.

Rodzicami chrzestnymi „Faunów" zdają się być: co do tematu — Jacek Malczewski, co zaś do faktury wykonania — Wyczółkowski. Naśladownictwo to było z pewnością bezwiedne, ale nie stanęło na wysokości pierwowzorów.

Talent Fałata rozwijał się stopniowo i stale. W miarę jak coraz więcej widział i studyował, wypowiadał się też coraz pełniej i doskonalej. Żałujemy, że obecnej wystawie brak wielu prac akwarelowych z wycieczek artysty do Hiszpanii i na Daleki Wschód. Był to okres dla Fałata przełomowy, od którego można datować tężyznę jego artystyczną. Prace, które poprzedzały ten okres, były wypiłowane, zmęczone i nie obiecywały wiele. Z tych czasów widzimy między innemi dużą akwarelę p. t. „Węglarze." Zdradza ona szablonowość i niemal naśladownictwo akwarel Kostrzewskiego. Lecz jeśli u Kostrzewskiego głównym celem jest humor i karykatura, a rysunek i barwa tylko podrzędnym środkiem, to od pracy z założeniem poważnem wymaga się czegoś więcej. Dłuższy pobyt za granicą i podróże zmieniły artystę zupełnie. Zaczyna się okres wspaniały akwarel, gwaszów i obrazów olejnych, czerpiących tematy z polowań na grubego zwierza, a więc niedźwiedź i łoś w otoczeniu zapadłej głuszy leśnej stają się ulubionymi tematami artysty. Wyborne są akwarelowe typy myśliwych i naganiaczy i do najlepszych prac Fałata będą z pewnością zaliczane: „Polowanie na głuszca" i „Główka mężczyzny" w czapce futrzanej. W owym okresie Fałat posiadał pracowitość i staranność wykończenia z okresu poprzedniego, a nabył już brawury i pewności technicznej. Niektóre szczegóły, jak np. postacie głównych bohaterów polowań, noszą nawet cechę zbytniego skończenia, nieharmonizującego z całą fakturą reszty obrazu. Usprawiedliwienia trzeba szukać w tem, że te prace były zwykle zamawiane jako obstalunek portretowy.

Paleta artysty staje się coraz barwniejszą, ale niezawsze jeszcze zwraca się na to szczególniejszą uwagę. Śnieżne knieje są często albo sztucznie przeniebieszczone, lub bezbarwnie szare. Ta szarzyzna dnia pochmurnego nie jest wyrażona *właściwą barwnością*, lecz bezbarwnością. Taką np. cechę nosi na sobie polowanie na niedźwiedzicę, zaskoczoną z trzema małemi w legowisku. Doskonale rysowany ten obraz jest jakby podbarwioną fotografią i raczej zyskałby nie stracił w jednobarwnej reprodukcyi. Tymczasem obrazy naprawdę malowane *barwami*, nie znoszą takiego reprodukowania, cała bowiem ich piękność oparta jest na subtelności i harmonii barw i tonów. Do takiej grupy, która opiera się na barwie, trzebaby zaliczyć dorobek z ostatniej doby, a mianowicie „Zimę," przedstawiającą bardzo prosty w założeniu motyw, bo równinę śnieżną, przeciętą wijącym się wężowo strumieniem, „Kraków śnieżny," „Kościół Pijarów w Krakowie" i sporo mniejszych prac z Zakopanego i Wenecyi. Mamy więc niezbity dowód, że mimo zajęć dyrektorskich, talent Fałata wciąż się rozwija i tężeje, szkoda tylko, że bardziej się teraz ogranicza na niedokończonych lub pospiesznie rzucanych szkicach, które często posiadają wartość doskonałych *kawałków*, ale rzadziej poważnie obmyślonych i przeprowadzonych, skończonych dzieł sztuki.

Salę sąsiednią zajęto wyłącznie na wystawę kilkudziesięciu prac krajobrazowych czterech młodych artystów krakowskich: Stanisława Czajkowskiego, Stefana Filipkiewicza, Stanisława Kamockiego i Henryka Szczygielskiego. Prace te zdradzają poczucie całości, zdolność do uogólniania wrażeń, ale jednocześnie korzystniej by wypadł ten popis, gdyby każdy z artystów wystawił był swe prace oddzielnie. Zebrane razem w jednej sali, uderzają przedewszystkiem taką jednakowością pojmowania natury, że gdyby jeden z nich nie używał bardzo grubego płótna, a drugi nie uważał sobie niemal za obowiązek zeszywać swe obrazy z dwóch kawałków, tobyśmy z trudnością mogli odróżniać indywidualne różnice jednego od drugiego. Natura jest zawsze jedną, więc usiłowanie oddania jej cech materyalnie zewnętrznych, ale i głębszych, bez przymieszki maniery osobistej artysty, nie byłoby karygodnem, w pracach jednak tych czterech malarzy uderza przedewszystkiem nie indywidualność samej natury, ale jakieś wspólne szkiełko, przez które wszyscy czterej na nią spoglądają. Tem szkiełkiem jest jedna maniera, wyniesiona ze szkoły i od profesora. Wszyscy czterej są młodzi, więc mają czas na obranie sobie każdy własnej drogi. Tymczasem studya ich, malowane zresztą z talentem, mogłyby być wystawione mniej uroczyście i bez sąsiedztwa z Grunwaldem, umieszczonym na pozostałej, czwartej ścianie, który musi rozgniatać niemiłosiernie te kilka kłosków owsa lub pszenicy, te kawałki chałupek i budek i te wszystkie studenckie studya i studyjka z wszelkimi honorami rozwieszone kosztem obrazów wszystkich innych artystów, dla których zostawiono jedną, jedyną, niewielką salę w całym gmachu Zachęty.

Lwią część tej salki zajmuje cały szereg portretów Michała Laurans a. Lwią pod względem ilości, lecz nie jakości, bo trzeba przyznać, że o wiele są gorsze od poprzednich prac tego artysty, a niektóre z nich, jak np. portret p. St., są wprost nieudolne. Z przeciwnej ściany patrzy na ten szereg prac barczysty mężczyzna Sawiczewskiego, malowany jędrnie i szeroko. Publiczność znała Sawiczewskiego z licznych ilustracyj. Teraz przypomniał się nam, jako dobry portrecista.

Z dawniejszych prac, o których już pisaliśmy, spotkaliśmy tu obrazy Popowskiego, Ryszkiewicza, Austena, Wankego, Gorskiego i innych.

W sali rzeźb mało się zmieniło. Wincenty Trojanowski dał kilkadziesiąt medalionów, wykonanych w złocie, srebrze i bronzie. Medalierstwo polskie prawie że nie istnieje, więc tem bardziej zasługuje na przestudyowanie ciekawy ten zbiór pojedyńczego artysty medaliera.

Z muzyki.

Marya, opera Henryka Melcera, na tle powieści ukraińskiej Malczewskiego.

Dotychczas w budzącym się u nas od lat kilku duchu twórczości operowej brali udział muzycy doświadczeni. „Goplana," „Livia Quintilla," „Mazepa," „Janek," „Manru" (tytuły przytaczam według chronologicznego porządku wystawiania dzieł na scenie), to prace kompozytorów, którzy pisali już poprzednio utwory dramatyczne lub posiadali dokładną znajomość środowiska operowego, oraz środków i efektów właściwych muzyce teatralnej. Na tej podstawie wymienione partytury, przedstawiające rękojmie sceniczności, doczekały się z łatwością wystawienia, o ile nie trafiały na jakieś przeszkody chwilowe.

Natomiast prace naszych kompozytorów młodych budziły stale pewne niedowierzanie. Wiadomo, że nie posiadamy szkoły operzystów polskich, ani tradycyj przyjętych i przestrzeganych ogólnie. Pokolenie młodych muzyków nie skupia się w grupy przedstawiające wyraźnie uznane programy lub dążenia. Każdy działa na własną rękę, bez przywódcy, bez sztandaru. Nie wiadomo dokładnie, jakie ideały pobudzają do czynu natchnienie przyszłych naszych pieśniarzy.

Wobec tego trudno nie przyznać pewnej słuszności obawom, okazywanym przez kierowników teatralnych. Wystawienie nowej opery pociąga za sobą znaczne nakłady pracy i wydatków. Dla wyników wątpliwych lub niepewnych nie każda dyrekcya zechce podjąć się ryzykownego doświadczenia. Z tego powodu pewna liczba partytur operowych młodych liryków polskich spoczywa dotychczas w tekach swoich autorów.

Dla Henryka Melcera scena warszawska uczyniła wyjątek. Utalentowany muzyk zajmuje poniekąd, z powodu wieku oraz pomyślnie od lat dziesięciu rozwijającej się działalności artystycznej, stanowisko najwidoczniejsze wśród kompozytorów młodego pokolenia. Dwa koncerty fortepianowe, nagrodzone kolejno na konkursach imienia Rubinsteina i Paderewskiego, budziły wiarę w jego wiedzę i we wzloty jego fantazyi.

Henryk Melcer obrał sobie dla skomponowania opery przedmiot bardzo ponętny, ale i trudny zarazem. „Marya" Malczewskiego, jako treść bogato wyposażona w szlachetny pierwiastek serdecznego liryzmu, domagała się przyozdobienia jej w szatę artystyczną odpowiedniego komentarza muzycznego. Lecz w melodyach, kreślonych przez kompozytora, powinny tkwić te same przymioty uczucia, szczerości, polotu i wdzięku, które unoszą się z natchnionych kart poematu.

Każdy z nas niewątpliwie odczuwa w duszy, jaką, pod względem wyrazu i nastroju, powinna być muzyka, dorobiona do „Maryi" Malczewskiego. To poczucie instynktowne było tak powszechne i oparte na poglądach ogólnych, iż z radością wielką powitano wiadomość o wystawieniu nowej opery. Spodziewano się poniekąd

wskrzeszenia tradycyi Moniuszkowskiej (wyrażającej się, że w racyonalnem połączeniu z techniką nowoczesną), liczono na to, że „Marya," jako opera liryczna, stanowić będzie zwrot epokowy w naszej twórczości teatralnej.

Wielkiem było zdziwienie publiczności warszawskiej na przedstawieniu, gdy przekonała się, iż autor nowej opery pojmuje całkiem inaczej duchową charakterystykę muzyki, mającej ilustrować poemat Malczewskiego. Melcer napisał dzieło poważne, artystycznie wykończone, technicznie wartościowe, wykazał dużo umiejętności i wiedzy, widocznej w misternem opracowaniu polifonicznem i w barwnej instrumentacyi. Tworzył jednak rozumem bardziej niż natchnieniem i z duszy swojej nie wydobył tego liryzmu ujmującego, który jest jedynym wyrazem uczucia, zrozumiałym dla ogółu.

Ślady niedoświadczenia widnieją na licznych kartach pierwszej opery Melcera. Nie należy jednak kłaść na nie zbytniego nacisku, gdyż w mniejszym lub większym stopniu znajduje się w podobnem położeniu każdy autor początkujący, zależnie od tego, jak dalece był wtajemniczony w właściwości rodzaju, który począł uprawiać. Znać w „Maryi," iż kompozytor nie zżył się dostatecznie ze środowiskiem teatralnem i że nie zdołał wyciągnąć należytej korzyści z badań podjętych nad partycyami mistrzów wybitniejszych. Nie jest obeznany praktycznie z efektami dźwięczności głosu ludzkiego; często więc jego śpiewy, nawet zbiorowe, nie mają brzmienia. W opracowaniu polifonicznem uwzględnia łaskawiej kombinacye techniki kontrapunktowej, niż barwę głosu czynników, którym powierza swoje tematy. Upośledza śpiewaków, w stosunku do orkiestry, w chwilach takich, kiedy siłę treści stanowią słowa tekstu, a nie sytuacya sceniczna lub stan psychiczny osób występujących. Instrumentacyę, choć włada nią doskonale, przybiera nieraz w linie i koloryty wątłe, właściwsze subtelniejszym efektom estrady koncertowej, niż sceny; a zdarza się też niekiedy, iż rysunek figuracyj powierzonych orkiestrze przypomina grupy rytmiczne, charakteryzujące technikę fortepianową. Jest niezdecydowany w kierunku, on zbliża się naprzemian, w użyciu środków i w formach przez się obranych, to do dramatów muzycznych, układanych według doktryny Wagnera, to do romantyzmu francuskiego z doby Gounoda, przytem nie umiał powstrzymać się od ustępstw, uczynionych na rzecz zadawnionych formułek zespołu wokalnego i popisów chórowych (akt II), niepołączonych ściśle z przebiegiem akcyi scenicznej.

Darowanoby chętnie Melcerowi te uchybienia, niezauważone zresztą przez każdego słuchacza, gdyby operę jego opromieniał silniejszy powab natchnienia, gdyby ustępy liryczne snuły się na tematach melodyjnych, gdyby w wyrazie uczuć zadrgał odcień swojskości.

Publiczność nasza, dla której dzieła opracowane misternie stały się od pewnego czasu duchowym chlebem codziennym, była spragnioną muzyki zdobniejszej w oddźwięk szczerości serdecznej. Sądząc z nastroju ogólnego, jaki zapanował w naszym świecie muzycznym po wystawieniu „Maryi" uczuwamy wrażenie jakoby doznanego zawodu.

Nie mniej jednak wszyscy zgodnie przyznają, że w nowej operze znajdują się chwile, w których polot autora zabłysnął z siłą wyrazu niepowszednią. Cała scena masek w akcie III, a w szczególności chór polonezowy, świadczą wyraźnie, iż w fantazyi Melcera tkwi wprawdzie nieostatecznie rozwinięty i może się obudzić nerw kompozytora scenicznego.

Niepowodzenie pierwszej opery nie powinno zniechęcać młodego muzyka, ani zrażać go do publiczności i do krytyki. Nie każdemu przyświeca łaskawie, na samym wstępie nowej drogi, przychylny uśmiech szczęścia. Nie każdy twórca liczy same zwycięztwa w swoim zawodzie.

Padały już na scenie dzieła takie, które dopiero później doczekały się oceny korzystniejszej. Padały opery skomponowane przez muzyków, którzy zajęli z biegiem czasu stanowisko przodujące w repertuarze teatralnym. Padały również prace artystów zasłużonych, posiadających sławę i uznanie bezsporne na innem polu sztuki.

Kto miłuje serdecznie swój zamiar, kto myśli swoje, uczucia i zapał oddał szczerze na usługi sztuki ukochanej, nie opuści rąk, nie upadnie na duchu wobec nieprzewidzianej porażki. Tylko słabi i zniewieściali cofają się z pola walki; duchy silne a mężne dążą wytrwale do wskazanego celu.

Bojomir.

NA MARGINESIE.

Czy można wyleczyć z nałogowego pijaństwa? — stawiamy sobie pytanie od wielu lat, i liczne były usiłowania, różne metody, za pomocą których spodziewano się osiągnąć ten cel. — Zawsze jednakże próby nie dawały takich rezultatów, jakich oczekiwano. Aż oto znalazł się podobno cudotwórca, który w przeciągu trzech mniej więcej tygodni leczy najradykalniej najbardziej zakorzeniony nałóg pijaństwa, wracając zupełnie zrujnowanemu organizmowi siły i zdrowie. Tym cudotwórcą ma być dr. Izaak Oppenheimer z Nowego Yorku, którego kilku filantropów angielskich sprowadziło obecnie do Londynu i postawiło na czele zakładu leczniczego dla pijaków. — Dr. Oppenheimer od wielu lat zajmował się specyalnemi badaniami dotkniętych tą chorobą nałogowców, a rezultatem tych studyów jest oryginalnie pojęta metoda leczenia. W Ameryce stowarzyszenia trzeźwości zwróciły już dawniej na nią uwagę i zużytkowały do swych celów. Polega ona na całkowitem zniszczeniu w pacyencie pragnienia, czego rezultatem natychmiastowym jest wzmożenie się apetytu i odrodzenie organizmu.

W najrozpaczliwszych, zdawało się, przypadkach dr. Oppenheimer ze swoją metodą odnosił najzupełniejsze zwycięztwo. Powierzono mu np. człowieka, który wskutek wieloletniego, strasznego picia, nie mógł już ustać na nogach, a ręce tak mu drżały, że szklanki do ust donieść nie potrafił, mowa stała się bełkotaniem, a wszystkie ruchy jakąś plątaniną bezładną. Po upływie trzech dni mętność spojrzenia zaczęła się rozjaśniać, ruchy nabierać koordynacyi, słowa układać się wyraźniej, nawet ręce nabrały większej pewności. Jeszcze po kilkudniach mógł już stać dobrze, a nawet przechadzać się najzupełniej swobodnie. Po dwóch tygodniach wrócił do domu całkiem zdrów, utraciwszy wszelki pociąg do trunków.

W gorszym jeszcze stanie zdrowia znajdowała się młoda, 25-letnia mężatka, córka także pijaka, której w ciągu lat pięciu nigdy nie widziane trzeźwą, jak zapewniał jej mąż. Ta po trzech tygodniach wróciła do rodziny najzupełniej wyleczona. I podobnych wypadków uzdrowienia może dr. Oppenheimer przedstawić sporą już liczbę.

Kuracyę można jednak, jak dotąd, prowadzić tylko w jego zakładzie, gdzie każdy pacyent poddany bywa najstaranniejszemu zbadaniu, od którego zależy właśnie zastosowanie metody do indywidualnych potrzeb i właściwości jego organizmu. Interesowani mogą się zwracać listownie do doktora O. w Londynie, Bow Road 135 E.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Gazety codzienne donoszą, że jedna z wykwalifikowanych introligatorek wystąpiła do zarządu miejskiego o wpisanie jej do cechu warszawskiego introligatorów. Zarząd miejski odpowiedział odmownie, opierając się na opinii urzędu starszych zgromadzenia introligatorów, który doszedł do przekonia, iż kobiety wogóle nie mogą odpowiadać zadaniom majstra introligatorskiego, gdyż praca ta wymaga nakładu sił fizycznych, jakim tylko mężczyzna rozporządzać może, przytem kobieta nie mogłaby też sprostać zadaniom w obowiązku majstrowskim kształcenia uczniów, których w rygorze i posłuszeństwie utrzymać może tylko powaga męzka.

— Do Rady miejskiej dobroczynności publ. wniesiono podanie o pozwolenie utworzenia w Warszawie Tow. kolonij letnich dla kobiet i dziewcząt powyżej lat 13, pracujących w krawiectwie.

— Odbyła się narada cechu mularzy nad pytaniem, czy nowemu prawu o wynagrodzeniu robotników za kalectwa podlegają przedsiębiorcy budowlani. Według *Gaz. Pols.* „grono prawników, przy których udziale odbyła się narada, przyszło do wniosku, że o ile przedsiębiorca budowlany nie posiada zakładu samodzielnego, a dokonywa tylko robót budowlanych na terenie obcym, nie będzie on podlegał nowemu prawu. Wyjaśnienie tego pytania będzie miało doniosłe znaczenie, gdyż liczba wypadków nieszczęśliwych z robotnikami przy budowach domów jest bardzo wielka i prawdopodobnie znacznie większa, niż liczba podobnych wypadków przy innych robotach. Podobno pogląd wspomnianych wyżej prawników zyskał już prawo obywatelstwa w jednem z warszawskich towarzystw asekuracyjnych."

— Zarząd Towarzystwa ochrony kobiet w Warszawie otworzył przy ul. Mazowieckiej nr. 11 oddział dostarczania pracy uczciwym, młodym kobietom.

— Grono lepiej myślących pracowników mularskich zamierza założyć Stowarzyszenie, którego celem będzie: pomoc wzajemna na przypadek choroby, śmierci lub braku pracy, ułatwienie i wyszukiwanie zajęcia i pomoc w elementarnem oświecaniu tak dorosłych, jak i małoletnich, przez urządzenie bezpłatnej szkoły wieczornej.

— Z Królestwa Polskiego powołano 65 lekarzy do pełnienia służby w armii czynnej na Dalekim Wschodzie. Lekarze zajmujący posady etatowe w szpitalach wojskowych i cywilnych, instytucyach rządowych i zakładach naukowych pobierać będą, oprócz wynagrodzenia dodatkowego, pensyę dotychczasową.

— Urzędnicy pocztowi w Poznańskiem i Prusach Zachodnich otrzymali wezwanie do wykreślenia się z listy członków polskich banków i kas pożyczkowych lub do opuszczenia zajmowanych posad.

— Sądy pruskie skazały redaktora *Pracy*, Biedermana i b. redaktora, Rakowskiego; oskarżonych o przekupienie dozorcy więziennego, Malika, w celu ułatwienia im porozumiewania się z sobą — pierwszego na 6 tygodni, drugiego na 9 miesięcy, zaś dozorcę na rok i pięć miesięcy więzienia.

— Sąd wyższy we Wrocławiu ogłosił wyrok w sprawie zaburzeń w Hucie Laury. Z 22 obwinionych, którzy apelowali od wyroku sądu krajowego w Bytomiu, jednego skazano powtórnie na 3 lata więzienia, jednego na 2 lata, jednego na rok, 10 na kary do 60 marek, resztę na więzienie do miesiąca.

— Amerykańska komisya emigracyjna postanowiła wysłać do portów europejskich swoich lekarzy, którzy będą badać przed wyjazdem udających się do Ameryki wychodźców aby tym sposobem uniknąć zwracania niezdolnych do pracy

— Gazety zagraniczne ostrzegają przed sidłami zastawionemi przez handlarzy żywym towarem. Rozdali oni swym agentom 125,000 dolarów w celu zwerbowania z Europy młodych dziewcząt do St. Louis na czas trwania wystawy.

— Włoska Izba deputowanych uchwaliła projekt prawa o dopuszczenie kobiet do adwokatury, pod warunkiem ukończenia uniwersyteckich kursów prawnych i zdania egzaminu.

Zdrowie publiczne. Według *Warsz. Dn.* napływ suchotników niewyleczalnych do szpitali warszawskich jest bardzo duży. Chorych tych szpitale przyjmują

wprawdzie, lecz po stwierdzeniu choroby wypisują. Wypisani z jednego, udają się do drugiego szpitala i tak wędrują po wszystkich aż do zgonu lub przyjnajmniej przez czas zimy. A tymczasem dla chorych uleczalnych częstokroć brakuje miejsca w szpitalach. Co mają robić nieszczęśliwi?..

— Dżuma w Indyach, zwłaszcza w Bengalu, szerzy się zatrważająco. W ciągu jednego tygodnia zachorowało 21,302 osoby.

— Zatwierdzono Muzeum hygieniczne w Częstochowie.

Literatura i prasa. Na konkursie *Tygodnika ilustrowanego*, ogłoszonym na humoreskę, pierwszej nagrody nie przyznano żadnemu utworowi, natomiast wyróżniono: „Tygrysa bengalskiego" W. Rapackiego (syna), „Sąd" J. Lemańskiego i „Humoreskę" G. Daniłowskiego. Za te prace autorowie otrzymają po 75 rb. oprócz honoraryum literackiego.

— W kwietniu r. b. zacznie wychodzić w Krakowie kwartalnik p. t. *Reforma szkolna*, pod redakcyą Adama Szymańskiego.

— W „Zbiorze praw" ogłoszono wyjaśnienie, że w razie nagłej nieobecności wydawców i redaktorów pism peryodycznych, gubernator swoją władzą może innym osobom prawomyślnym udzielać pozwolenia na czasowe podpisywanie wydawnictw za wydawcę lub redaktora.

— *Frnl. Gaz.* donosi, iż na czas wojny, oprócz cenzury ogólnej dla czasopism ustanowiono osobną, wojenną, która ma baczyć nad dostarczaniem ludności wiadomości prawdziwych z placu boju.

Ze sztuki. W Towarzystwie Zachęty otworzono wystawę „Okrężną."

— Tow. Zachęty odroczyło do d. 25 b. m. terminu składania deklaracyj na konkursy z działu malarstwa, ornamentyki i reprodukcyj graficznych.

— Stowarzyszenie artystów monachijskich, „Künstlergenossenschaf," prosi pragnących wziąć udział w dorocznej wystawie o nadesłanie deklaracyj do d. 30 kwietnia. Otwarcie wystawy nastąpi dnia 1 czerwca i trwać będzie do końca października r. b.

Sprawy ekonomiczne. Warszawskiej Kasie posagowej odmówiono pozwolenia na założenie własnego Towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowego.

— Ziemianie z okolic Płońska zawiązali spółkę rolniczą pod nazwą „Świt." Takąż spółkę utworzyli drobni rolnicy we wsi Zawadach, gub. Łomżyńskiej.

— Zatwierdzono ustawy stowarzyszeń oszczędnościowo-pożyczkowych w Działoszynie i Praszce, (pow. Wieluński), oraz w Pyzdrach (pow. Stopnicki).

Koleje i komunikacye. Organizują się w Warszawie ochotnicze brygady parowozowe w przewidywaniu zapotrzebowania ich na koleje Dalekiego Wschodu. W razie wyjazdu maszyniści i ich pomocnicy mają pobierać podwójną pensyę, pozostałe zaś rodziny otrzymywać będą wypłacaną im dotychczas.

— Na kolejach tutejszych zaprzestano przyjmowania ładunków prywatnych do Irkucka.

— Express wschodni, zapowiedziany w letnim rozkładzie między Londynem a Pekinem, dochodzić będzie tylko do Irkucka.

— Skutkiem wojny wstrzymano budowę kolei z Petersburga do Petrozawodska.

Poczta. Od 15 kwietnia r. b. będzie wprowadzona przesyłka pieniędzy przekazami pocztowymi do Austryi (do sumy 250 koron), Niemiec, (216 marek) Szwajcaryi (266 franków).

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu H. Z. w K. Zdrowie p. Aleksandra Świętochowskiego poprawia się, daleko jednak jeszcze do zupełnego polepszenia.

X. Y. Z. Wzmianka była w nr. 49 r. z. Sonetu nie będziemy drukować.

Panu W. E. z ul. Mazow. Artykulików drukować, ani tą sprawą zajmować się nie możemy.

P. S. B. Gramatyka czeska Szosteckiego, słownik [illegible].

SPROSTOWANIE. W nr. 10, str. 115, szp. 1 wiersz 11 od góry czytać należy: Po wprowadzeniu sześciu nowych ludzi (przy ogólnej liczbie dwunastu członków w komitecie) podział pracy i urzędów musiał również uledz dużym zmianom.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Февраля 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.